ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK VIII. Nr 33/373

LONDYN, 15 SIERPNIA 1954 R.

SPOJRZENIE NA ROK MARYJNY

PULCHRA UT LUNA ELECTA UT SOL

STULECIE MATKI BOSKIEJ

Przedziwna jest tajemnica zła i dobra. Im więcej zła na świecie, tym więcej dobra — dla przeciwwagi i przeciwdziałania.

W wiekach XIX i XX bluźniono i bezczeszczono Imię Boże w mowie, piśmie i ilustracji. Ale dla przeciwwagi — powstał wśród katolików potężny zryw, by uczcić Majestat Boga, który stał się Człowiekiem. W całym świecie urządza się diecezjalne, narodowe i międzynarodowe Kongresy Eucharystyczne. Nabożeństwa 40-godzinne i wieczysta adoracja należą do jednych z najpowszechniejszych praktyk religijnych. Nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego ogarnęło umysły i serca milionów. Wczesna, częsta, nawet codzienna Komunia św. stała się mocą i przyczyną odrodzenia dusz ludzkich.

Wzmożonej czci Syna Bożego i miłującemu oddaniu się Bogu-Człowiekowi towarzyszy taki wzrost nabożeństwa do Jego Przeczystej Matki-Dziewicy, że mówi się o S t u l e c i u M a t k i B o s k i e j.

Matka Boska chodzi po świecie i widzą Ją oczy dzieci: Melanii i Maksymina, Bernadety, Łucji, Franciszka i Jacynty, jakby dla przypomnienia, że trzeba stać się naturalnymi jak dzieci, prostymi w bezwzględnej ufności, szczerymi i niewinnymi, dalekimi od obłudy, kłamstwa, udawania, podstępu, skrępowania.

Jak milowe kamienie na drodze ludzkości stają lata 1830, 1854, 1858, 1917, 1950, 1953-1954: Cudowny Medalik, dogmat Niepokalanego Poczęcia, Lourdes, Fatima, dogmat Wniebowzięcia, Rok Maryjny. S E D E S S A P I E N T I A E, Stolica Mądrości, odpłaca Stolicy Piotrowej dogmatem Nieomylności: I N F A L L I B I L I S C A T H E D R A S A P I E N T I A E.

Oczy rozmiłowanego Kościoła wpatrzone są w Matkę-Dziewicę, o której protestant Klopstock w „Mesjadzie" pisał: „Ta, która na tym świecie poznała szczęśliwość Aniołów i na drodze wiodącej do grobu zachwyty nieba", o której mówi Koran: „Ta, której łono pobłogosławił Odwieczny, tchnąc w Nią swego Ducha i dając Jej Syna, który jest cudem wszechświata".

Ku Jej czci stają bazyliki jak w Lourdes, Fatimie, Pompei, Jej poświęca się ogromne statuy jak w Puy posąg Notre Dame de France, odlany z dział spod Sebastopolu.

Ku Jej czci stają w duszach ludzkich duchowe opoki wiary, nadziei i miłości, niewzruszone twierdze męstwa i cierpliwości, bastiony oporu wobec zła.

Wiele jest nowych zgromadzeń zakonnych, poświęconych Maryi, Jej Wniebowzięciu, Niepokalanemu Poczęciu, Niepokalanemu Sercu.

Powstają nowe święta ku Jej czci lub istniejące rozciągnięte są na cały Kościół: Siedmiu Boleści (1817), Objawienia w Lourdes (1890, 1907), Macierzyństwa (1931), Niepokalanego Serca (1944).

Cały rodzaj ludzki, który w 1899 został przez Leona XIII poświęcony Najświętszemu Sercu Jezusowemu, Pius XII poświęca w r. 1942 Niepokalanemu Sercu Maryi.

I oto jakby na ukoronowanie tego wszystkiego staje się rzecz, jakiej nie było dotychczas w dziejach Kościoła: Pius XII ogłasza Rok Maryjny.

Czym odpłaci Matka za ten nowy akt Jej uczczenia, a zarazem akt wyrazu miłości ku Niej?...

DOKUMENTY W ZWIĄZKU Z ROKIEM MARYJNYM

Rok Maryjny zarządził Ojciec św. encykliką datowaną w dniu Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, 8 września, „Fulgens Corona Gloriae", sam ułożył modlitwę, pod datą uroczystości Ofiarowania Maryi jako dziecięcia w świątyni, 21 listopada, i za jej odmawianie udzielił odpustów. Przyznał wielkie łaski duchowe na Rok Maryjny (ŻYCIE nr 50 z r. 1953), dekretem Św. Penitencjarii Apostolskiej. Ponadto dekretem Św. Kongregacji Sakramentów z 26 listopada udzielił ordynariuszom władzy pozwalania, pod pewnymi warunkami, na odprawianie w nocy z 7 na 8 grudnia w obu latach 1953 i 1954 jednej Mszy św. o pół do pierwszej. Dekretem zaś Św. Kongregacji Rytów z 29 listopada zezwolił na odprawianie w ciągu Roku Maryjnego we wszystkich kościołach i oratoriach we wszystkie soboty jednej Mszy św. wotywnej o Niepokalanym Poczęciu, za wyjątkiem dni, w które przypada święto I lub II klasy, feria, wigilia lub oktawa uprzywilejowana pierwszego i drugiego rzędu, święto, wigilia lub oktawa święta Matki Boskiej. Powołał też Papież do życia Komitet Roku Maryjnego z siedzibą w Watykanie z arcybiskupem Luigi Traglia, zastępcą kardynała wikariusza generalnego Rzymu, jako przewodniczącym Komitetu.

Z kolei przewodniczący Komitetu zwrócił się do Episkopatu, a przez Św. Kongregację Zakonników do generalnych przełożonych zakonów i zgromadzeń zakonnych i odbył konferencję prasową.

W liście do Episkopatu arcybiskup Luigi Traglia zaznaczył, że nie jest zadaniem Komitetu zachęcać do pielgrzymek do Rzymu ani kierować ruchem pielgrzymów do tegoż Miasta Wiecznego, jak to było w Roku Świętym 1950, lecz raczej koordynować i ułatwić wszystkie inicjatywy, jakie w różnych diecezjach będą podjęte w celu zrealizowania pragnień Ojca św. Ażeby osiągnąć owoce spodziewane z obchodu Roku Maryjnego, należy przede wszystkim urządzać manifestacje diecezjalne i parafialne przeznaczone dla wzbudzenia w wiernych jako całości i w każdym z nich z osobna żywszego uczucia do Najświętszej Panienki. Powinno się zapoznać wiernych z sanktuariami poświęconymi czci Matki Bożej. Po parafiach należy organizować, jeśli tylko możliwe, serie konferencyj i kazań katechetycznych i kształcących i szerzyć książki o Matce Boskiej, zachęcając wiernych do częstszego i pobożniejszego uczęszczania do Sakramentów św. A ponieważ w Roku Maryjnym pragnie się rozbudzić miłość w wiernych, którzy powinni uważać się za braci, zjednoczonych pod opieką tej samej Matki niebieskiej, przeto można by wykorzystać okazję Roku Maryjnego w celu założenia dzieł o charakterze społecznym czy charytatywnym, poświęconych Niepokalanej Dziewicy, a które w ten sposób pozostałyby jako żywy pomnik uroczystości obchodu stulecia. Wreszcie przy żadnej manifestacji nie może zabraknąć wspomnienia i modlitw za braci we wierze, narówni z nami synów Maryi, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości.

Komitet Roku Maryjnego jest do dyspozycji wszystkich w celu udzielania informacyj i sugestyj i byłby bardzo rad, jeśliby otrzymywał z diecezyj informacje o tamtejszych inicjatywach, ażeby przedsięwzięcia każdej z nich stawały się wspólnym skarbcem, inspirującym innych do szlachetnego współzawodnictwa na chwałę Boga i Jego Matki i dla dobra dusz.

W związku z akcją Komitetu Roku Maryjnego św. Kongregacja Zakonników zwróciła się do generalnych przełożonych zakonów i zgromadzeń zakonnych ze swymi sugestiami, zarządzając zarazem, że tejże Kongregacji należy po zakończeniu Roku Maryjnego złożyć krótkie sprawozdanie z tego, co uczyniono w zastosowaniu się do tych sugestyj. Sugestie te podzielono na dwa działy: dla członków zakonów i zgromadzeń zakonnych i dla wychowanków i tych, co w jakimkolwiek pozostają związku z zakonami i zgromadzeniami zakonnymi.

Członkowie zakonów i zgromadzeń zakonnych winni pogłębić w sobie znajomość dogmatów odnoszących się do Najświętszej Panienki, zwłaszcza dogmatu o Niepokalanym Poczęciu. Przełożeni i przełożone mają postarać się o odpowiednie w tym względzie konferencje wygłaszane przez żarliwych i kompetentnych znawców mariologii, przy czym należy w duchu braterstwa, nawet bez wynagrodzenia, przyjść z pomocą zakonom i zgromadzeniom zakonnym żeńskim. Ósmy dzień każdego miesiąca należy poświęcić w specjalny sposób Maryi, we wszystkie zaś soboty w duchu modlitwy i pokuty należy zanosić prośby za cierpiących prześladowanie, o nawrócenie prześladujących i o poszanowanie świętych praw Kościoła. W Roku Maryjnym każdy zakon i każde zgromadzenie zakonne, każda ich prowincja, a nawet każdy ich dom poczynią starania o rozpoczęcie dzieła o charakterze charytatywnym, odpowiadającego duchowi danego zakonu czy zgromadzenia zakonnego (np. bezpłatna poradnia lekarska, ufundowanie darmowego łóżka w szpitalu, bezpłatne szkoły lub bezpłatne miejsca w szkołach, odwiedzania w dzielnicach zamieszkałych przez ubogą ludność, katechizowanie itd.).

Jeśli chodzi o wychowanków i wychowanki zakładów naukowych prowadzonych przez zakony i zgromadzenia zakonne, jako też wiernych pozostających w związku z zakonami i zgromadzeniami zakonnymi, należy zapoznać ich z przywilejami i tajemnicami Maryi względnie pogłębić w nich ich znajomość, zwłaszcza zaś tajemnicy Niepokalanego Poczęcia. Wychowankowie powinni wykonywać niewielkie prace związane z obchodami ku czci Matki Boskiej (konkursy, pisane kompozycje, rysunki, dekoracje, afisze, przedstawienia scen z życia Matki Boskiej, wystawy książek maryjnych itp.). Wśród wiernych związanych w jakikolwiek sposób z zakonami i zgromadzeniami zakonnymi należy szerzyć praktykę różańca w rodzinach, odmawianie Anioł Pański i osobiste poświęcenie się Niepokalanemu Sercu Bożej Rodzicielki. Należy także poczynić starania, by osoby te albo brały udział w powstawaniu dzieł o charakterze społecznym albo przyczyniały się do podtrzymania i rozwoju dzieł prowadzonych przez odnośne zakony czy zgromadzenia zakonne.

Arcybiskup Luigi Traglia, jako przewodniczący Komitetu Roku Maryjnego, odbył także konferencję z przedstawicielami prasy. Mówił o pielgrzymkach do sanktuariów maryjnych, podkreślił potrzebę szczególnych modlitw za Kościół Milczenia.

Otwarcia Roku Maryjnego dokonał Ojciec św., udając się w dniu 8 grudnia po południu do kolumny Niepokalanego Poczęcia na Placu Hiszpańskim i do bazyliki Matki Boskiej Większej. Opisowi tej uroczystości ŻYCIE poświęciło dwa artykuły: w nrach 1 (341) i 2 (342) z 3 i 10 stycznia b.r.

PIĘKNA JAK KSIĘŻYC, WSPANIAŁA JAK SŁOŃCE

Zaraz po powrocie z tej uroczystości do Watykanu Papież wygłosił przez radio przemówienie, do którego osnowę tworzyły słowa z liturgii na uroczystość Wniebowzięcia: pulchra ut luna, piękna jako księżyc; electa ut sol, wspaniała jak słońce; terribilis ut castrorum acies ordinata, trwogę budząca jak wojsko w szyku bojowym. Ponadto jedną z myśli przewodnich była pamięć na czar i wdzięk niewinnego dziecka.

Piękna jak księżyc — oto jedno z wyrażeń dla oddania wzniosłej piękności Maryi. Ileż razy jesteśmy pod urokiem dziecka: piękna jego anielskiej twarzyczki, czaru jego uśmiechu, wdzięku jego czystego spojrzenia. Jakież wobec tego jest spojrzenie Maryi! uśmiech Maryi! słodycz Maryi! majestat Maryi Królowej nieba i ziemi! Wszak Bóg w obliczu swej Matki zebrał wszystkie blaski swej Bożej sztuki. Maryja jest najpiękniejsza ze wszystkich stworzeń. Jeśli piękność ludzka, która jest jak cień kwiatu, porywa szlachetne serce, jakżeż zachowałoby się ono, gdyby człowiek mógł stanąć twarzą wobec Tej, która, jak powiedział Dante, jest radością w oczach wszystkich Świętych. Wszak na obliczu Maryi maluje się nie tylko piękno naturalne, ale także Jej godność nadludzka i Boska: promień piękności Boga jaśnieje w oczach Jego Matki. Jeśli oblicze dziecka jest odzwierciedleniem oblicza matki, jakież są rysy twarzy Matki Boga-Człowieka, które w jakiś sposób musiały znaleźć swe odbicie w obliczu Jezusa, tym obliczu, które Aniołowie adorują?

Ale Kościół nie przyrównuje Matki Boskiej tylko do księżyca. Wychwala Ją przez mocniejsze porównanie: wspaniała jak słońce. Światło słońca różni się wybitnie od światła księżyca, jest światłem, które ogrzewa i ożywia. Światło księżyca nie daje ciepła, nie daje życia. Źródłem światła, ciepła i życia jest słońce. Maryja, która ma piękność księżyca, jaśnieje też jak słońce i promieniuje ożywiającym ciepłem. Pod światłem i ciepłem słońca zakwitają na ziemi i dają owoc rośliny; pod wpływem pomocy tego słońca, którym jest Maryja, owocują w duszach dobre myśli. O! gdybyśmy mogli mieć głos św. Bernarda, który nie przestawał wychwalać, opiewać, podziwiać, radować się przed tronem Maryi! O! gdybyśmy mogli mieć język Aniołów, by móc wypowiedzieć piękno i wielkość ich Królowej!

Inny jeszcze obraz bierze Kościół z Pisma Świętego i stosuje do Maryi. Nie tylko jest piękna jako księżyc, wspaniała jak słońce, jest Ona także dla nieprzyjaciela straszna i trwogę budząca jak wojsko w szyku bojowym. Niebezpieczeństwa, które w czasach dzisiejszych ciążą nad rodzajem ludzkim, są tak wielkie, że Papież nie może zaprzestać nigdy podnosić swego wołania o przebudzenie się. Jest nieprzyjaciel, który dobija się do bram Kościoła i zagraża duszom. I oto Maryja przychodzi ze swą siłą na pomoc w walce. Gdy zbliża się Maryja, demon pierzcha; podobnie jak znikają ciemności, gdy wschodzi słońce. Gdzie jest Maryja, nie ma Szatana; gdzie jest słońce, ustaje władza ciemności.

Te trzy blaski Maryi, Jej piękność nadludzką należy starać się odtwarzać w swej duszy. Dusza powinna stawać się podobna do duszy Matki nieba. Przez świat pogrążony w ciemnościach trzeba przejść jako wiązka światła i woń nienaruszonej czystości. Trzeba być także jako słońce, które ogrzewa i ożywia: ogrzewać miłością otaczające nas osoby i rzeczy, gorącowością swej miłości zaznaczać swą obecność, stawać się narzędziami życia w duszach ludzkich, które mrą dzisiaj z zimna i głodu, a mogłyby powrócić do domu Ojca, gdyby poruszone zostały naszymi słowami, pociągnięte naszym przykładem. Tak wielu jest jeszcze złych, ponieważ nie zostali dotychczas wystarczająco ukochani.

Niemniej trzeba być na wzór Maryi mężnymi wobec nieprzyjaciela. W encyklice „Fulgens Corona" Papież wskazał na wykonywany straszny plan celem wyrwania z dusz zupełnie wiary w Chrystusa. W tym najeździe szatańskim na świat służą jako narzędzia ludzie — nieszczęśliwi ludzie. Trzeba wziąć zdecydowany udział w tej walce ze złem: walce nienawiści przeciw miłości, złych obyczajów przeciw czystości, egoizmu przeciw sprawiedliwości społecznej, gwałtu przeciw życiu w pokoju, tyranii przeciw wolności. Ta walka ma zapewnione zwycięstwo, gwarancją jego jest nieomylne słowo Boga. Przyjdzie dzień tryumfu dobra nad złem, ponieważ przyjdzie dzień, w którym — jak Papież stwierdza z niezmiernym smutkiem — pójdą „przeklęci w ogień wieczny" ci wszyscy, którzy chcieli obejść się bez Boga i pozostali aż do końca zatwardziali w niepokucie. Są jednak walki, których wynik nie jest pewny, ponieważ zależy także od dobrej woli ludzi. Gdzieniegdzie przemógł nieprzyjaciel; tam trzeba odzyskać stracony teren: zbłąkane dusze, ażeby Chrystus rządził na nowo w sercach i w świecie. Pod wejrzeniem Maryi, Królowej Zwycięstw, trzeba być przygotowanym żyć w stałym pogotowiu, gotowi do wszelkich ofiar, skwapliwi do każdego heroizmu.

PAPIEŻ DO DZIECI

Pod koniec streszczonego przemówienia Papież w serdecznych słowach zwrócił się do dzieci:

„Czy przypominacie sobie, jak bardzo was umiłował Jezus i z jaką tkliwością was przyjmował? Mówiąc do rzesz, was stawiał jako wzór, by wejść do królestwa niebieskiego. Również Papież was kocha, jak kochał was Jezus. Jesteście ulubieńcami Papieża, jak byliście źrenicą oczu Jezusowych. I oto, drogie dzieci, Papież potrzebuje waszej pomocy. Papież ma tyle trosk, tyle obaw o losy tego świata zagrożonego ruiną. Czy chcecie dopomóc Papieżowi? Czy chcecie dopomóc Kościołowi w ocaleniu świata, w ocaleniu ludzkości w niebezpieczeństwie? Wznieście przeto w niebo wasze oczy jasne i czyste; złóżcie wasze rączęta i ofiarujcie Jezusowi waszą niewinność. Mówcie Jezusowi, by ocalił Kościół, by ocalił dusze. Waszą modlitwą, waszymi ofiarkami stańcie się aniołami opiekuńczymi całej Akcji Katolickiej, która pokłada w was wszystkie swe nadzieje."

MODLITWA

Przemówienie zakończył Papież modlitwą:

„O Panno piękna jako księżyc, rozkoszy niebios, w której oblicze wpatrują się Błogosławieni i w kontemplacji pogrążają się Aniołowie, spraw, abyśmy, twoje dzieci, upodobniali się do Ciebie i ażeby nasze dusze otrzymały promień twego piękna, który nie przemija z latami, lecz jaśnieje w wieczności.

„O Maryjo, słońce nieba, obudź życie wszędzie, gdzie jest śmierć, i oświeć dusze, gdzie są ciemności. Odzwierciedlaj się w obliczu twoich dzieci, użycz nam odblasku swego światła i swej żarliwości.

„O Maryjo, mężna jak wojsko, daj naszym zastępom zwycięstwo. Jesteśmy tak bardzo słabi, a nasz nieprzyjaciel sroży się z taką pychą. Lecz pod twoim sztandarem czujemy się pewni pokonania go; on zna moc twej stopy, on lęka się majestatu twego spojrzenia. Ocal nas, o Maryjo, piękna jako księżyc, wspaniała jak słońce, mężna jak wojsko w szyku bojowym, wsparte nie przez nienawiść, lecz ogniem miłości. Niech tak się stanie."

Władysław Jelonek

*) Słowa tytułu są z liturgii na uroczystość Wniebowzięcia N. Maryi Panny.

MOWA DZIECI

Przed paru dniami obserwowałem dwóch małych Irlandczyków, bawiących się w ogrodzie polskiego domu w Londynie, w którym z rodzicami mieszkają. Jeden ma pięć lat, a drugi trzy.

Młodszy psuł jakąś zabawkę. Starszy wyrwał mu ją nagle z groźną miną i skarcił:

— Nie wolno!

Mimo woli roześmiałem się, stwierdzając, jakiego polskiego zwrotu nauczył się irlandzki lokator od polskich gospodarzy. Widać często słyszy zakazy, skoro je tak zapamiętał!

Ale żart na bok. Ostatecznie, nie ma w tym nic dziwnego, że słyszy zakazy. Nie nauczył się zresztą tego zwrotu od dorosłych, bo dorośli mówią do niego po angielsku. Nauczył się go — od dzieci. Gromadka polskich dzieci bawi się z tymi małymi Irlandczykami nieraz. Starsze, chodzące już do szkoły, rozmawiają z nimi po angielsku. Ale młodsze, w wieku przedszkolnym, jeszcze po angielsku nie umieją. Pewnie małe Irlandczyki przyswoiły sobie od nich nie ten jeden tylko polski zwrot. Słyszę w każdym razie, jak wyraźnie wymawiają, nawołując się z polskimi dziećmi, polskie imiona: Wojtuś, Basia, Oleńka!

Asymilacja jest więc wzajemna. Dzieci, stykając się z sobą, uczą się swych języków nawzajem.

Byłoby jednak wielką ślepotą nie widzieć, że znaczna przewaga procentów asymilacyjnych, nawet tam, gdzie w bawiącej się z sobą dwujęzycznej gromadce polskie dzieci liczebnie przeważają, toczy się — na naszą niekorzyść. Polskie dzieci wdychają angielszczyznę wraz z powietrzem tego kraju. Nie wiadomo gdzie, kiedy, skąd, — to od dzieci angielskich, to od sąsiadów, to w sklepie, w którym kupują cukierki, no a potem, oczywiście, w szkole — uczą się angielskich słów, angielskich zwrotów i w końcu płynnego władania angielszczyzną.

Nie ma się co łudzić! Dzieciom naszym, urodzonym w Anglii, grozi wynarodowienie. Grozi nawet w licznych środowiskach, w których Polaków jest wielu i gdzie język polski słyszeć można z wielu ust. Grozi tym bardziej w szczupłych rodzinach, żyjących w rozproszeniu. Z natury rzeczy, język polski jest dla dziecka tu urodzonego językiem ograniczonego użytku; natomiast język angielski to jest język o zastosowaniu powszechnym. Języka polskiego nie słyszy się w sklepie, od konduktora autobusu, od aktora, przemawiającego z filmu czy z aparatu telewizyjnego. Nie słyszy się go w szkole. Tylko rzadko słyszy się go w kościele albo z ust lekarza. Nie słyszy się go na ulicy, nie czyta się go na szyldach sklepowych, w nagłówkach afiszów, gazet, ilustrowanych tygodników, „komików", nie słyszy się go z ust kłócących się przekupek i żartujących „koknejów". Język polski jest dla tych dzieci z natury rzeczy czymś uroczystym, odświętnym, może czymś intymnym, należącym do domu rodzicielskiego, zabarwionym czułością matki i autorytetem ojca. Natomiast język angielski — to mowa potoczna, może nie budząca uczuć serdecznego przywiązania, ale wygodna, łatwa, coraz lepiej opanowywana, skrząca się życiem, związana z codziennością, odbijająca w sobie wszystkie przyjemności i zdarzenia powszednie. Język angielski — to dla tych dzieci język żywy. Język polski — to dla nich trochę język martwy, trochę jak hebrajszczyzna dla Żydów.

Nie ma wątpliwości, że te dzieci — dopóki nie powrócą do Polski — będą znały język angielski lepiej od polskiego. Będą się nim posługiwały swobodniej i z większą łatwością.

Na to nie ma rady. Tego nie możemy zmienić, bo nie możemy zmienić otoczenia, w jakim się życie tych dzieci kształtuje, otoczenia szerszego, niż sam tylko dom rodzicielski i skromne instytucje polskiej, emigranckiej diaspory.

Ale też tym większy jest nasz obowiązek troszczenia się o to, by dać dzieciom przynajmniej to, co dać im możemy. By dać im język polski jako język ojczysty, jako wyłączny, starannie pielęgnowany i bez ograniczeń używany język domu rodzicielskiego.

Słyszałem kiedyś z ust młodego ojca pytanie: czy najpierw uczyć dziecko języka polskiego, czy najpierw angielskiego? Bo ludzie mówią, że jeśli nie nauczę dziecka najpierw mowy angielskiej, to będzie ono mieć trudności w szkole... — Pytanie to wzburzyło mnie. Jak można się o taką rzecz pytać! Jak można nie mieć odpowiedzi na to pytanie, podyktowanej po prostu przez instynkt!

Nie ma obawy o to, by się dziecko, mieszkające w Anglii, nie nauczyło po angielsku. Ono nałapie słów angielskich więcej, niż się tego domyślamy, nawet zanim zacznie chodzić do szkoły. A w szkole nauczy się płynnie mówić — w ciągu kilku tygodni lub miesięcy. Że będzie mieć początkowo trochę trudności? Całe życie ludzkie jest najeżone trudnościami — i nie ma na to rady. Trudności te pokona — i to mu dobrze zrobi. Nauczy się wysiłku, nauczy się pracy i to mu pomoże w dalszej nauce szkolnej. Jest rzeczą znaną, że dzieci obcojęzyczne zawsze się wyśmienicie uczą, bo przełamanie trudności językowych daje im impet do dalszej pracy i wysiłku.

Trochę się w początkach nauki szkolnej pomęczy — ale nie ucierpi na tym. A za to będzie uratowane dla polskości i dla rodziców.

Bo dziecko polskie, z którym rodzice rozmawiają po angielsku, jest stracone zarówno dla polskości, jak w niemałym stopniu także i dla nich. Dziecko takie nigdy się już nie nauczy polskiego języka — i nigdy go nie pokocha. Język ten nie będzie dla niego mową najwcześniejszych wspomnień, mową pieszczot matczynych, mową rodzicielskiego domu. Po co miałoby się go uczyć? Nawet jeśli się go nauczy po powrocie do Polski — będzie go uważać za język sztucznie przyswojony i obcy.

A nie nauczywszy się polskiego języka, nie zdobywszy oparcia w fakcie, że jest dzieckiem polskim, którego dom rodzicielski jest polski i mowa ojczysta jest polska — będzie równocześnie mieć kompleks niższości, spowodowany świadomością, że jego rodzice, dając mu mowę angielską i kulturę angielską, nie są Anglikami. Dziecko wychowane po polsku nie gorszy się tym, że matka mówi źle po angielsku; przeciwnie, czuje się ono z polskością rodziców solidarne. Ale dziecko wychowane przez rodziców w mowie angielskiej wstydzi się rodzicielskiego akcentu, czuje się upokorzone faktem, że rodzice jego nie są takimi Anglikami, jak rodzice innych dzieci, jest od rodziców odgrodzone nieprzekraczalną barierą narodowej obcości. Jest ono British born of non-British parents — i fakt ten jest dla niego źródłem irytacji, źródłem niechęci do rodziców i źródłem pragnienia odsunięcia się od nich.

Oczywiście inaczej jest z dzieckiem wdowy, która — pracując — musiała oddać niemowlę do przytułku, w którym się ono najpierw nauczyło po angielsku. Matka ta korzysta z każdej okazji, by dziecko po polsku nauczyć — i dziecko to ma świadomość, że z matką trzeba mówić po polsku, nawet, jeśli jeszcze się polskiego języka nie nauczyło. Dla dziecka tego pojęcie matki łączy się nierozerwalnie z pojęciem polskości — i nie ma w tym uczucia upokorzenia, jest, przeciwnie, pragnienie dorównania matce. Ale dziecko, które matka-Polka nauczyła najpierw mówić po angielsku, będzie się tej matki wstydzić.

Mówmy więc z dziećmi po polsku — i to mówmy dobrze i starannie. Nie mówmy nigdy o jeżdżeniu „undergroundem" czy „busem" albo o utracie „jobu", czy chodzeniu do „pubu". Mówmy poprawną polszczyzną, której piękno, czystość, oryginalność i siłę dziecko instynktownie oceni, nauczy się darzyć szacunkiem i pokocha.

Polonus

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

LITERATURA I NAUKA. Pod tym tytułem „Times Literary Supplement" zamieszcza interesujące komentarze na temat niedawno wydanej książki B. Ifora Evansa „Literature and Science".

„Każdy element doświadczenia — stwierdza autor — może być ziarnem dla młynu poety i nauka niewątpliwie dostarczała natchnienia niektórym spośród czołowych poetów różnych narodów. Oczywiście można żywić krytyczne wątpliwości co do wartości poetyckiej utworu, w którym Manilius ujął współczesną mu wiedzę astronomiczną w heksametry łacińskie, ale jest rzeczą niewątpliwą, iż Lucretius wyzyskał jako tworzywo najwspanialszych wierszy wszystkich czasów pozornie jałową filozofię Demokryta. Jest rzeczą osobliwą, że Rzymianie, którzy niczym nie przyczynili się do rozwoju wiedzy, wydali z siebie dwa tak wybitne utwory tego typu, podczas gdy Grecy, którzy dawali początek we wszystkich niemal dziedzinach, nie mogą tu zaprezentować nikogo lepszego niż Aratus, a u Arystofanesa znajdujemy nawet trochę szydzenia z ludzi nauki.

W średniowieczu Dante wplótł ptolomejski system wszechświata w swą „Boską Komedię" w taki sposób, że system ten jest istotną częścią całej poetyckiej struktury; niektóre z najpiękniejszych wierszy w tym utworze są bezpośrednim wyrazem ówczesnych teorii naukowych. Wpływ hipotez Ptolomeusza znajdujemy także u Miltona. Ale zarówno u poetów i pisarzy starożytnych, jak nowoczesnych obecność elementów naukowych nie jest jakąś ogólną zasadą; u niektórych to znajdujemy, u innych nie.

Ogólnie jednak — zaznacza autor artykułu — w nowszych czasach wpływ nauki na twórczość poetycką jest znacznie mniejszy. Można by zapytać, dlaczego współcześni malarze i kompozytorzy nie szukają natchnienia w chemii i fizyce. Jedna z odpowiedzi brzmi, że nauka dzisiejsza stała się zbyt wyspecjalizowana dla wszystkich, z wyjątkiem osób całkowicie nią pochłoniętych. Odpowiedź ta jest pozornie słuszna, gdyż skoro biochemik nie wie, co czyni kolega jego astrofizyk, to trudno oczekiwać, by wiedział to poeta lub muzyk. Goethe był ostatnim człowiekiem, który starał się być u szczytu zarówno nauki jak literatury. A jednak twierdzenie to słuszne nie jest. Nie można całej winy składać na ludzi nauki. Wiek nasz jest nie tylko wiekiem specjalizacji, ale także wiekiem popularyzacji. Dantemu znacznie trudniej było poznać współczesną mu wiedzę, niż ludziom, którzy znali już książki drukowane.

Autor stara się następnie wykazać, że w twórczości wielkich uczonych wiele jest elementu poezji i muzyki.

„Czy to dobrze czy źle — konkluduje autor artykułu — faktem jest, że nauka przekształca świat nas otaczający, i poeta, który rozmyślnie odcina się od nauki, odcina się od życia. Nowsze teorie wszechświata mają w sobie epicką wielkość; ale mało kto chwyta iskry padające z laboratoriów."

CHARLIE CHAPLIN I KOMUNIŚCI. Jak podaje prasa, w czasie konferencji w Genewie premier i zarazem minister spraw zagranicznych komunistycznego rządu chińskiego Czu En-lai wydał w swej willi, odległej o pięć mil od Genewy, bankiet na cześć Charlie Chaplina i jego żony. Przy wejściu do willi straż pełnili równocześnie policjanci szwajcarscy i agenci bezpieczeństwa chińscy.

Poprzednio, w czerwcu, Chaplin wydał dwa przyjęcia dla członków chińskiej delegacji komunistycznej. W maju, po kongresie „Światowej Rady Pokoju" w Berlinie wschodnim, Chaplin odznaczony został „światową nagrodą pokoju".

PRZECIW TANIM SENSACJOM

Kampania, prowadzona od pewnego czasu w Wielkiej Brytanii przez różne czynniki społeczne (przytaczaliśmy swego czasu oświadczenie brytyjskiej Rady Prasowej w tej sprawie) przeciw gonieniu przez wiele dzienników i periodyków za tanią sensacją i wygrywaniu najniższych instynktów dla pozyskania czytelników, zatacza coraz szersze kręgi.

Ostatnio zajęła się tymi sprawami konferencja Ogólnokrajowej Rady Kobiet (National Council of Women), która obradowała w Edynburgu. Powzięto rezolucję, wyrażającą uznanie dla uczciwości większej części prasy, równocześnie jednak krytykując ostro „niezdrowe wyzyskiwanie spraw seksualnych, oraz ogłaszanie szczegółowych opisów samobójstw i innych okropności przez pewne gazety i periodyki". Wezwano Radę Prasową, by podjęła takie kroki, jakie mogą się okazać konieczne dla zachowania moralności narodu, w szczególności jeśli chodzi o młodzież.

Na marginesie tych uchwał zanotować trzeba, że od paru miesięcy — widocznie pod wpływem tych odruchów — zaznacza się pewna poprawa nawet w pismach, które najbardziej żerowały na sensacjach tego właśnie typu. Czas okaże, czy jest ona trwała.

Czas odnowić prenumeratę

F. FRANKOWSKI

SOLIDARYZM NARODOWY

Rozważając zagadnienia solidaryzmu pomiędzy ludźmi, przede wszystkim musimy ustalić o jakich ludziach mówimy. Wielu myślicieli bowiem, zajmujących się przyszłością organizacji współżycia tworzy fikcję „człowieka przyszłości" tj. człowieka zdolnego żyć w pełnej technicznej integracji społecznej. W niniejszej pracy natomiast brany jest pod uwagę człowiek realnie dziś istniejący tj. człowiek świadomy swej indywidualności, pragnący swobody własnego rozwoju, działający w przekonaniu swej osobistej odpowiedzialności i wolnej woli, człowiek obdarzony zdolnością krytycyzmu, zdolnością do radości i do cierpienia, człowiek niedoskonały, lecz dążący do doskonalenia.

Każdy, kto studiuje dzieje rozwoju stosunków społecznych i międzynarodowych — filozof, socjolog, historyk, prawnik lub moralista — dostrzec musi niechybnie, że bieg współżycia ludzkiego rozwija się w stałej walce dwóch, zasadniczo różnych, przeciwstawnych koncepcyj: z jednej strony myśl ludzka dąży do wytworzenia systemu pozytywnych reguł współżycia, mających na celu zapewnienie, na drodze stałego doskonalenia, możliwie największego szczęścia jednostki i zbiorowości ludzkich; z drugiej strony zaznacza się tendencja do uznania rzeczywistości, takiej jaka jest w każdym danym okresie, za jedyną dogmatyczną podstawę do ustalenia zasad postępowania, bez względu na nakazy etyki, natomiast podnosząc do godności moralnego prawidła realizację doraźnych celów i osiąganie doraźnych korzyści w ramach materialistycznego światopoglądu. A więc dwie szkoły myślenia: idealistyczna i empiryczno-materialistyczna.

Jeszcze inaczej rzeczy ujmując, mianowicie z punktu widzenia wartości rozwojowych tj. postępu i doskonalenia, możemy te dwie szkoły myślenia określić: pierwszą jako optymistyczną, drugą jako pesymistyczno-fatalistyczną. Pierwsza wychodzi z założenia, że człowiek dąży naturalnie przez twórczość umysłu i wyobraźni do osiągnięcia coraz to wyższych form prawdy, dobra i piękna, druga widzi tylko, że na świecie panuje brutalna siła, przemoc i podstęp jako logiczny, a co za tym idzie usprawiedliwiony wyraz bezwzględnej walki o byt, cechującej świat materii i stanowiącej zasadnicze prawo naturalne współżycia.

Te dwie metody myślenia sformułowane są już jasno i rozważane, z całą świadomością ich treści, w dialogach Platona. Wielcy filozofowie starożytności byli, prawie wszyscy, jeżeli chodzi o dziedzinę etyki, wyznawcami idealizmu, stwierdzali jednak niedwuznacznie istnienie przeciwnej metody rozumowania i swoje własne koncepcje rozwijali zazwyczaj na kanwie dyskusji przeciwko tym alternatywnym, pesymistycznym teoriom. Najpotężniejsze jednak zwycięstwo doktryny idealistycznej zrealizowało się dopiero w chrześcijaństwie, a doktryna świętego Augustyna była ukoronowaniem długiej pracy myśli doskonalenia, łącząc w sobie osiągnięcia filozofii z Objawieniem religijnym.

Epoka „renesansu" daje nam znowu jaskrawy obraz dalszego stadium równoległego biegu dwóch światopoglądów etycznych. Z jednej strony widzimy, tak bardzo przesiąknięty optymizmem, ruch wyzwolenia jednostki i pełnego rozkwitu postępu człowieczeństwa, oraz entuzjastyczne odrodzenie idealistycznej filozofii klasycznej, które wyraziły się w humanizmie; z drugiej strony mamy — a był to zapewno objaw rewolucyjnego przerostu wybujałego indywidualizmu i, posuniętej aż do cynizmu, śmiałości myśli empirycznej — teoretyczne sformułowanie przez Niccoló Macchiavelliego przekonania o prymacie siły nad prawem i moralnością, ubóstwienia doraźnego osiągnięcia i podniesienia do znaczenia dogmatu zasady, że cel uświęca środki.

Tę dwoistość socjologicznego myślenia obserwujemy nieprzerwanie w dalszym biegu wieków. Jako przedstawicieli idealistycznego światopoglądu wymienić by można prawie wszystkich filozofów francuskich wieku XVIII, dla których wiara w dobroczynność rozumu ludzkiego i w nieograniczone możliwości postępu była aksjomatem. Najwybitniejszymi wyrazicielami tego kierunku byli A. N. Condorcet i J. J. Rousseau, — a następnie, już w wieku XIX można wskazać na E. Kanta i V. Cousin'a.

Równolegle znów jednak do tych prądów widzimy, jak, w filiacji od Macchiavella, rozwija się długi łańcuch myślicieli pesymistów i teoretyków prawa bezwzględnej walki o byt, jak Hobbes, a później Hegel admirator i chwalca siły i na niej opartego sukcesu, i wszystkich tych, którzy, zwątpiwszy w rozum i cnotę zwykłego człowieka, szukali rozwiązań w konstrukcjach „nadludzkich" czy to przez egzaltację ponad miarę wyrastającej wyjątkowej jednostki („nadczłowieka"), czy też przez egzaltację konstrukcyj abstrakcyjnych „organizmów zbiorowych", na które przenosili wartości i prawa bezsilnej i niezasługującej, ich zdaniem, na uwagę jednostki ludzkiej. Spośród myślicieli tego obozu wystarczy wymienić Karola Marksa, Nietzsche'go, George Sorel'a, oraz „rasistów" (jak Gobineau) i mistyków przesadnego nacjonalizmu.

Podobnie jak w dziedzinie myśli filozoficznej, w konkretnym życiu społecznym, państwowym i międzynarodowym obserwujemy grę tych dwóch różnych światopoglądów, które stanowią psychologiczny punkt wyjścia politycznego działania.

ŹRÓDŁA UCZUĆ SOLIDARYSTYCZNYCH

Uczucia solidarystyczne płyną z dwóch zasadniczych źródeł psychologicznych. Pierwsze z nich rodzi się z pobudek dobrze zrozumianego egoistycznego utylitaryzmu; drugim jest altruizm, w różnych swych formach i przejawach, wynikający z zasad etyki objawionej (miłość bliźniego), czy też intuicyjnej.

Naturze ludzkiej właściwy jest pewien instynkt działalności rozwojowej: działalności egoistycznej w stosunku do samego siebie, altruistycznej w stosunku do innych. Instynkt ten wyraża się w dążeniu do rozszerzenia swej indywidualności, wzniesienia siebie i przejawów życia na wyższy szczebel rozwoju, gdyż w tym przeczuwamy jeden z celów naszego istnienia.

Człowiek dąży do usprawiedliwienia swego istnienia m. in. przez pożytek, jaki to istnienie daje innym ludziom. Faktem jest, że w obejmowaniu coraz to szerszych zainteresowań, w udziale w organizacji współżycia, znajduje się jedyna rozumowo możliwa zachęta do twórczości. Poczucie użyteczności stanowi w normalnym życiu ludzkim najważniejszy element równowagi moralnej i zadowolenia duchowego.

Zapewne, i należy to z największym naciskiem stwierdzić, faktem najbardziej realnym, jako odrębny organizm, jest jednostka ludzka. Społeczeństwo, naród są to tylko nazwy zbiorowe lub abstrakcje, skróty ideowe. Jednak życie indywidualne tworzy się i rozwija we współżyciu, pośród innych i w nim się wzbogaca.

Uczucia tej łączności **wolnej jednostki** z gromadą, potrzeba jej i waga wzrastają w obecnych czasach z niesłychaną intensywnością. Stanowią one punkt wyjścia wszelkiej działalności społecznej i państwowej: nazwijmy je poczuciem najogólniejszego solidaryzmu.

W ciągu wieków budowa życia państwowego i społecznego przybierała niejednokrotnie formy, które zasadniczy solidaryzm współżycia całkowicie zaciemniały, a przejawy świadomości solidaryzmu w zarodku niweczyły. Brak świadomości solidaryzmu państwowo-społecznego zastępowały częstokroć inne przejawy mistyki współżycia zbudowane na fakcie siły i przemocy ze strony czynników rządzących lub na podstawach poza- lub ponadpaństwowo-społecznych.

W przeglądzie rozwoju solidaryzmu w ciągu wieków podkreślić należy, że świat starożytny rozwinął szeroko zasadę „prymatu" interesu zbiorowego, państwa-ojczyzny, nad prawami jednostki. Służba dla dobra ojczyzny stanowiła zresztą główne zajęcie obywatela. Moralne podstawy tego porządku rzeczy sformułowali jasno starożytni filozofowie greccy m. in. Platon. W poświęceniu jednostki sprawie ogólnej najdalej posunęli się filozofowie szkoły stoickiej, Marek Aureliusz podkreśla konieczność poddania jednostki „całości": tj. podporządkowania życia jednostki celom nadrzędnym, a więc społeczności lub państwu. Praktyczne zastosowanie tej zasady widzimy też w totalitarnym ustroju Sparty.

Elitarnej filozofii stoickiej brakowało ważnego elementu dla właściwego usytuowania roli człowieka wobec społeczeństwa. Ten element przyniosła dopiero doktryna chrześcijańska. Pomimo swego postulatu pokory, chrześcijaństwo utrwalało aktywny i optymistyczny stosunek każdego człowieka do życia i świata. Należy tu przypomnieć, że żaden z filozofów starożytnych nie wystąpił doktrynalnie przeciw niewolnictwu, chrześcijaństwo zaś od razu stanęło na stanowisku równości duchowej ludzi. Jednostka ludzka, którą stoicy skłonni byli uważać za cząsteczkę tylko wielkiej „całości", w religii chrześcijańskiej uznana jest za fakt samodzielny najwyższej wagi: gdyż człowiek posiada duszę nieśmiertelną, samą za siebie odpowiedzialną i stanowiącą wartość absolutną w swym niekończącym się nigdy indywidualnym istnieniu. Przestał on być więc tylko jakąś cząstką „całości", lecz podniesiony został na najwyższy piedestał indywidualnego istnienia. „Całość" (ludzkość) — to tylko nazwa jednostek wziętych razem. Patriotyzm i solidaryzm chrześcijański — to stosunek do bliźniego, do zbiorowości bliźnich; jest to cnota niezbędna, lecz wynikająca z decyzji wolnej woli.

Solidaryzm średniowieczny wyraził się w małym tylko stopniu w życiu państwowym, lecz raczej rozwijał się na polu życia kościelnego, komunalnego i korporacyjnego.

Ogromna rola w życiu świeckim organizacyj kościelnych w średniowieczu wynikała m.in. z faktu, że Kościół był wówczas jedynym krzewicielem idei powszechnego solidaryzmu i że popierając solidaryzm korporacyjny i stanowy (wyrażający się m. in. w tak zwanej moralności rycerskiej), prowadził on niestrudzenie walkę, w duchu postulatów zgodnego pokojowego współżycia państw i ludzi, przeciw tyranicznym formom rządzenia, wojnom prywatnym i samowoli feodałów. Przez całe średniowiecze Kościół katolicki był też istotnie jedynym bojownikiem idei solidaryzmu międzynarodowego. Zapewne idea Cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego w oparciu o doktrynę kościelną była również wyrazem dążeń do swego rodzaju solidaryzmu międzynarodowego, jednak w praktyce w poczynaniach cesarstwa imperializm dynastyczny zawsze przesłaniał posłannictwo solidarystyczne, które pragnęła w nim widzieć rzesza tęskniących do jedności. Potężny wyraz tej tęsknoty dał m. in. Dante.

Na przestrzeni trzech wieków, od XVI do XVIII włącznie, fala myśli solidarystycznej płynęła paroma kanałami, które biegnąc każdy po innej trasie, coraz częściej jednak w różnych punktach się spotykały: a więc nadal akcja kościelna, ewolucja myśli państwowej coraz to bardziej oświeconego centralizmu monarchistycznego, wreszcie niezmiernie ważny rozwój myśli filozoficznej.

REWOLUCJA FRANCUSKA I LIBERALIZM

Rewolucja francuska sformułowała już całkowicie ideologię „praw człowieka" i wolności ludzkiej w harmonijnie zbudowanym społeczeństwie, wypisując na swych sztandarach hasło: wolność, równość i braterstwo. Idee rewolucji francuskiej były źródłem ruchu społeczno-filozoficznego pod nazwą liberalizmu, a który rozwijał się przez cały wiek XIX we wszystkich cywilizowanych krajach świata.

Liberalizm opierał się na przeświadczeniu, że akcja indywidualna jest zjawiskiem najważniejszym, a więc że im mniej państwo będzie się wtrącało do życia ludzkiego — tym lepiej. Z drugiej jednak strony wymogi życia zbiorowości — rozwijającej się w XIX wieku na drodze zawrotnego postępu w dziedzinie twórczości technicznej i produkcji — wymagały brania na siebie ze strony państwa coraz to więcej zadań mediacyjnych. Liberalizm w ekonomii kapitalistycznej miał swoje niebezpieczne okrucieństwa. Dawał on jednostce silnej i bezwzględnej, lub grupie, możność wyzysku jednostek słabszych, jednym słowem mas. Toteż od połowy w. XIX notujemy coraz to gwałtowniejszą reakcję przeciwko liberalnemu indywidualizmowi przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej, któremu przeciwstawia się znowu idea wyższości interesu ogółu nad interesem jednostki, a właściwie prymatu interesu mas nad wyłącznymi interesami elity. Wobec przerostu liberalnego kapitalizmu, rozwija się bardzo intensywnie ruch wyzwoleńczy mas pracujących w ramach coraz to ulepszanego ustroju liberalnego. Równość każdego człowieka wobec prawa i możliwość wznoszenia się w hierarchii społecznej i w skali dobrobytu stają się głównymi postulatami ideologicznymi. Jednocześnie i na tle tych koncepcyj w drugiej ćwierci XIX wieku rodzi się socjalizm. Sformułował tę teorię całkowicie Karl Marx.

SOCJALIZM

Socjalizm, w przeciwieństwie do liberalizmu, postulat wolności człowieka zastąpił postulatem równości. Wolność jednostki ograniczył do „minimum", niwecząc podstawę niezależności materialnej człowieka przez postulat skasowania prawa własności. Przedstawiał on więc nawrót do koncepcji filozofów starożytności, że jednostka ma być tylko cząstką „całości", podporządkowaną społeczności. Socjalizm narzucał przy tym jeszcze większe związanie jednostki z „całością", gdyż związanie we wszystkich dziedzinach materialnego, osobistego życia.

Ustrojowo, treścią i istotą liberalizmu są rządy parlamentarne oparte na istnieniu, walce i współpracy niezależnych grup-partyj. Wyrazem zewnętrznym tego systemu rządzenia są wybieralne ciała prawodawcze, funkcjonujące w rezultacie, uznanej za dogmat, wolnej walki stronnictw, przez którą uzyskuje się równowagę interesów różnych grup społeczeństwa. Wynik głosowania większościowego w parlamencie decyduje o biegu życia państwowego, o organizacji ekonomicznej i społecznej. Przez walkę w parlamencie wyraża się prawotwórcza ewolucja woli narodu, **ewolucja w zasadzie nie podlegająca żadnym ograniczeniom.**

Socjalizm nie przewiduje wolnej walki grup, lecz stwarza system apriorystyczny ustroju i narzuca z góry ustaloną organizację życia państwowego, społecznego i ekonomicznego. Wprowadza planowy we wszystkich szczegółach „katechizm" polityczno-społeczno-ekonomiczny. Stwarza więc (w zasadzie harmonijną) społeczność totalną — w imię hasła zapewnienia obrony interesów masy pracującej.

KOMUNIZM

Należy tu skonstatować, że z punktu widzenia teorii socjalnej między komunizmem a socjalizmem ideologicznych różnic nie ma. Oczywiście w praktyce pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami socjalistycznymi znajdujemy cały wachlarz wariantów programowych. Partie socjalistyczne, które w wielu państwach mają za sobą długoletnią tradycję parlamentarną a częstokroć były rzecznikami metod umiarkowanych i reformistycznych, odeszły nieraz daleko od integralnego marksizmu i haseł rewolucyjnych; dziś niejednokrotnie, ze względów politycznych, są przeciwnikami komunizmu. Nie trudno zauważyć, że grupy antykomunistyczne świata demokratycznego dalekie są od tendencji do wyparcia się współpracy z grupami umiarkowanych socjalistów, którzy godzą się nadal współpracować w ramach systemu demokratyczno-parlamentarnego.

USTROJE UNITARNE

Należy jeszcze wspomnieć o innych znamiennych ruchach nam współczesnych, które rozwinęły swą akcję bardzo intensywnie w okresie pomiędzy dwiema wojnami światowymi. Były to ruchy przeważnie pochodne od socjalizmu, lecz odrzucające cały szereg zasad klasycznego socjalizmu-komunizmu, i to zarówno z dziedziny koncepcyj moralnych jak i gospodarczych. Można je nazwać ruchami unitarnymi.[1]

SYTUACJA W CHWILI OBECNEJ

Świat cywilizacji zachodniej przeżywa dziś niewątpliwie okres bolesnego poszukiwania nowego dogmatu zarówno w dziedzinie stosunków społecznych jak i międzynarodowych. Tęsknota do ustalenia się nowych wierzeń w tych dziedzinach jest powszechna. Zewsząd słyszy się coraz głośniejsze nawoływania do niezbędnego zjednoczenia się pod sztandarem haseł i zasad, które by stanowić mogły podstawy moralne i praktyczne drogowskazy dla życia ludzi miłujących wolność i ich wspólnego działania.

W przemówieniu na publicznym zebraniu Królewskiego Instytutu Antropologii, w dniu 28 listopada 1950 roku, znany filozof angielski dr Julian Huxley z wielką troską stwierdził brak efektywnej jednolitej ideologii wolnego i cywilizowanego człowieka współczesnego i brak, jak się wyraził, „dystylacji" z olbrzymiej masy wiedzy i nagromadzonych doświadczeń kierującej interpretacji duchowej i siły socjalnej, mogących stanowić natchnienie dla ludzkości. Stoimy jakoby przed wyborem, mówił Huxley, pomiędzy chaosem myśli lub zniweczeniem wolności myśli.

W świetle tych konstatacyj spójrzmy na dzisiejszą sytuację światową.

TEZY WATYKANU

Jak zawsze od wieków, Kościół Katolicki ma i dziś swoją całkowicie sformułowaną doktrynę solidaryzmu ludzkiego. Pomimo czasem spotykanej dowolnej interpretacji, doktryna ta jest diametralnie przeciwna ideologicznym założeniom socjalizmu i komunizmu; jest to całkowicie naturalne, bo te dwie ostatnie doktryny oparte są na integralnym materializmie, którego Kościół oczywiście uznać nigdy nie może. Doktryna kościelna, sformułowana w ciągu ostatnich lat 80-ciu (Encykliki: „Rerum Novarum" i „Quadragesimo Anno"), wysuwa postulaty sprawiedliwego ustroju socjalnego zbudowanego na równowadze praw jednostki i wymogów organizacji życia społecznego. Ostatnio Papież Pius XII sformułował też w swych przemówieniach wigilijnych z lat 1939 — 1942 teorię solidaryzmu międzynarodowego, która została następnie w szczegółach opracowana przez wybitnego prawnika włoskiego prof. Guido Gonella.

PRÓBY SFORMUŁOWANIA DOKTRYNY

Jednak, świat niekomunistyczny, jako całość, dotychczas nie doszedł do ustalenia jednolitej, ściśle określonej i powszechnie przyjętej doktryny. W obozie anty-komunistycznym poszczególne czynniki powołują się na różne źródła swych ideologicznych dogmatów i swego zasadniczego światopoglądu. Nie mówiąc już o elementach nacjonalistycznych — jest to inny aspekt sprawy (nie jest to element zjednoczenia) — świat zachodni powołuje się ogólnikowo na swą wiarę w porządek rzeczy oparty o zasady chrześcijańskie oraz o kulturę „zachodnią", w jej długiej filiacji, płynącej od kultury grecko-rzymskiej i filozofii klasycznej. Widzimy też próby rozbudowy materializmu naukowego — zachodniego. Wreszcie w niektórych społeczeństwach ważkim argumentem jest praktyczna po prostu celowość obrony dodatnich osiągnięć w sposobie życia, które wytworzyły się przez długą i szczęśliwą ewolucję historyczno-narodową. Wysuwane są też różne koncepcje zreformowanego kapitalistycznego liberalizmu i umiarkowanego socjalizmu.

DEMOKRATYZM WSPÓŁCZESNY

Świat zachodni, wolny, przeżywa niewątpliwie nową fazę ewolucji solidarystycznej, w której choć element unitaryzmu występuje bardzo wyraźnie, jednak nie w formach totalistycznych. Jest to współczesny demokratyzm zachodni. Bierze on pod uwagę obydwa elementy składające się na fakt solidaryzmu: jednostkę ludzką i społeczność; interes i prawa jednostki miarkowane interesem i prawem innych jednostek, poszczególnych, i razem wziętych tj. społeczności.

W fazie dzisiejszej ewolucji ludzkości jedynym celem, jedyną racją bytu państwa jest szczęście każdego obywatela-człowieka, jednostki. Wydać się to może paradoksem, jeżeli się zważy mistycyzm wszechpotęgi państwa, który jest dziś tak powszechnym objawem. Jednak tak jest. Dawniej państwo było organizacją, mającą na celu zapewnienie panowania monarchy, dynastii, klasy arystokratycznej czy klas wyższych, w ogóle grupy obywateli. (Ostatnio współczesne pojęcie klasowe „proletariat" zanika w naszych oczach!) Dziś państwo stoi realnie wyłącznie wobec jednostki ludzkiej. Państwo współczesne musi być wielkim filantropem, wielkim dobroczyńcą w stosunku do każdego obywatela.

PAŃSTWO OPIEKUŃCZE

Jedną z niezmiernie interesujących prób systemu organizacji państwowo-społecznej doby dzisiejszej jest tzw. „państwo opiekuńcze", stanowiące wielkie doświadczenie aktualnej rzeczywistości m.in. w Wielkiej Brytanii, na podstawie raportu Lorda Beveridge'a.

O tyle o ile można bezstronnie sądzić o procesach bieżących, stwierdzić należy, że doświadczenie, o którym mowa, rozwija się w wielu dziedzinach pozytywnie i pomyślnie i poszczycić się może wielkimi osiągnięciami. Niewątpliwie system „państwa opiekuńczego" podnosi ogromnie ogólny dobrobyt mas narodu oraz wpływa dodatnio na ich psychiczne zadowolenie. Opieka nad matką i dzieckiem, bezpłatna służba zdrowia, bezpłatne nauczanie, asekuracje od bezrobocia i na starość, płatne urlopy dla pracowników, zabezpieczenie „minimum egzystencji" w każdym wypadku, a w szczególności w okresach trudności losowych — są to zdobycze solidaryzmu niezmiernie cenne i które muszą znajdować powszechną aprobatę.

Inne elementy tego systemu tj. „państwa opiekuńczego", mianowicie te, które raczej wypływają z programu klasycznego socjalizmu niż z ideologii solidarystycznej, dzielić będą losy doświadczeń socjalistycznych.

Wydaje się również, że ważnym czynnikiem dla tego rodzaju systemu w ogóle jest należyta troska o to, by psychika społeczeństwa zachowała należną równowagę między stosunkiem do walorów materialnych i stosunkiem do walorów wyższej kategorii tj. duchowych. Mamy tu na myśli te niebezpieczeństwa ideologicznego materializmu, które są tak charakterystyczne w systemach integralnego socjalizmu, o tendencjach totalitarnych.

SOLIDARYZM DEMOKRATYCZNY

Spróbujmy sformułować pewne zarysy tego demokratycznego solidarystycznego „katechizmu", który faktycznie ogromna większość ludzi w świecie wolnym wyznaje.

STOSUNEK DO CZŁOWIEKA

Solidaryzm współczesny wychodzi z założenia równości praw człowieka obywatela, lecz nie ma cech niwelatorskich. Jest on ewolucjonistyczny i uznaje faktyczną hierarchię rozwojową społeczeństwa, o ile odpowiada ona rozsądnym realnościom. Uważa on społeczeństwo za harmonijną organizację, w której jednostki różne funkcje muszą spełniać, na zasadzie prawa rozważnej i humanitarnej selekcji. Stoi na stanowisku pełnej wartości jednostkowości ludzkiej. Uznaje, że nie państwo, lecz człowiek ma duszę.

ŻYCIE EKONOMICZNE

Solidaryzm nie wymaga sztywnej dogmatyki ekonomicznej. Dąży on do najlepszego zorganizowania życia ekonomicznego, pozostając na stanowisku poszanowania prawa własności, gdyż doświadczenie wieków poucza, że pełnia rozwoju indywidualnego życia wymaga posiadania i akcji gospodarczej opartej na posiadaniu.

Własność prywatna, jak i prawa polityczne jednostki — są to zasady, których treść leży w ich praktycznym zastosowaniu. Doprowadzone do idea-

(Dokończenie na str. 4)

[1] „Życie" z dnia 28 lutego 1954 r., „Ruchy unitarne XX wieku".

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

Żałosne dzieje podróży kapłana Wen-Amona

(W poszukiwaniu źródeł historycznych do „Faraona" Prusa)

Mówi się często, że „Faraon" jest czystą fantazją, że Prus przede wszystkim nigdy nie był w Egipcie, co zgadza się z prawdą, poza tym, że czytał tylko Maspera i nic więcej, co jest nader nieściśle. Czytał znacznie, znacznie więcej, choćby dlatego, że autentyczne teksty, które przytacza z odnośnikiem czy bez odnośnika, są z innych niż Maspero czerpane źródeł i dowodzą głębszych studiów.

Może mają i rację krytycy, że Prus chciał pod pokrywką „Faraona" oraz losów Egiptu wiele powiedzieć o Polsce i Rosji. Cytują nawet owi uczeni świetną, mniej znaną a tak złośliwą nowelkę o „Psinahudesie". Może, lecz czasem wydaje mi się, że te zamiary pisarza pozostały pobożne. Raczej jestem skłonny wysunąć przypuszczenie, że pisarz, jak to się dzieje we wielu wypadkach, stał się ofiarą własnego tematu i nie pisarz temat, lecz temat pisarza wziął za łeb i poprowadził. Może Ramzes XIII rzeczywiście miał być przedwcieleniem Józefa Poniatowskiego. Może — lecz fakt pozostaje faktem, że Ramzes XIII był przede wszystkim i w pierwszym rzędzie Egipcjaninem swej epoki.

Dlaczego Prus wybrał sobie właśnie okres panowania Ramzesa XII? Czyż przez pewne podobieństwo do przedrozbiorowej Polski? Mało jest podobieństwa historycznego; inne zaś epoki, zwłaszcza ostatnich dynastyj, raczej nadają się do paraleli. Historyczny Ramzes XII nie był wcale taki mądry i nie panował zbyt długo. Jego wszechwładnym ministrem był naprawdę arcykapłan Amona tebańskiego Herhor (Hirhor, Herehor). Daty znamy dość dokładnie, nie tylko z Palermańskiego Słupa, Turyńskiego Papyrusa, czy Listy Królów Manetho, lecz i z faktu, że 16 dnia, 11 miesiąca, piątego roku panowania tego zacnego monarchy pewien kapłan ruszył w podróż do Syrii. Był to rok 1113 przed Chrystusem. Otóż wydawać by się mogło, że nie tyle Sasi czy Poniatowscy, ile ten kapłan wywarł poważny wpływ na Prusa i jego „Faraona". Ale o tym potem.

Ramzes XII był bezwolnym narzędziem w ręku Herhora, lecz wówczas był jeszcze drugi współzawodnik do władzy nad faraonem: namiestnik królewski, raczej samodzierżca Dolnego Egiptu imieniem Nesubanebded. Zarówno Herhor jak i Nesubanebded ubrali po śmierci Ramzesa XII białe i czerwone czapki ozdobione Ureusem. Jednak pierwszym był Herhor, przez małżeństwo z dziedziczką tronu, żoną zmarłego władcy. Czy jej na imię było Nikotris — trudno dojść. To imię spotyka się zarówno w napisach jak i u Herodota. W Egipcie żyła arcykapłanka Amona-Ra, tego imienia, lecz dopiero w sześć wieków później, za 26 dynastii. Herhor ożenił się z wdową po Ramzesie XII i przez to uzyskał prawo do tytułu i funkcji faraona. Takie małżeństwa były rzeczą tradycji. Prus słusznie każe żenić się Tutmozisowi z panną Hebron, córką nomarchy Teb, by mu zapewnić dziedzictwo tej wpływowej monarchii i dlatego to w historii bardziej nowoczesnej Kleopatra musiała pojąć za mężów kolejno dwóch swych młodszych braci (małżeństwa dynastyczne nie brały pod uwagę ni wieku ni stopnia pokrewieństwa) i tym należy sobie tłumaczyć stosunek Cezara i Antoniusza do Kleopatry oraz mniej udałe zaloty Oktawiana. Znamy Kleopatrę z rozmaitych współczesnych ilustracji. Nie była olśniewająco piękna, nawet na obrazku. Jej czar stanowił nie nos, lecz tron Dolnego i Górnego Egiptu, na którym siedziała. Matriarchat, choć ukryty, miał tak silne korzenie w Egipcie, że w niektórych znanych nam rodowodach egipskich (bardzo skomplikowana sprawa) nazwisko męża zastępuje tylko skromny znaczek płci. Imiona i nazwiska idą jedynie po macierzy.

O ile Ramzes XII był postacią historyczną, o tyle o Ramzesie XIII historia milczy. W świetle całkiem najnowszych powojennych badań nie jest rzeczą wykluczoną, że istniał. Prawdopodobnie na wzór nieszczęsnego Ankhatona, męża naszej dobrej znajomej Nefretiti (Nefertiri), czy tak zdolnego spryciarza jakim był Ay (wspomina o Ay Prus w rozmowie Ramzesa jun. z Semenentu, fałszywie mianując go kapłanem) czy wreszcie Tut-ankh-Amona został wyklęty, jego nazwisko wymazane z listy żyjących wiecznie, jako zdrajcy i apostaty. Jednak na pewno nie popełnił podobnych zbrodni jak jego poprzednicy i nie przepędził Amona wraz z Ozirisem z Egiptu wprowadzając na tron syryjskiego bożka Atona. Wiedzieliśmy o tym. W każdym razie mógł się narazić kapłanom, zaś w tym czasie egipscy kapłani rzeczywiście pozwalali sobie za dużo, włażąc wraz z sandałami do polityki.

Na czym oparł Prus obie postacie ojca i syna, na jakich wzorach historycznych? Czy tylko na fantazji, w to wątpić należy, tym bardziej, że oba typy są doskonałe. Jednak buszując po olbrzymiej liście królów i znanych ich dziejów, od prehistorycznych dynastii po Ptolomeuszów, trudno znaleźć bezwzględne prawzory obu postaci. Prus opiera się o autentyczny materiał, gdzie może, tym bardziej, że aktów historii, anegdot, hymnów, wierszy, bajek nie brakuje. Dziś, kiedy staroegipski czyta się swobodnie, podobnie jak łacinę czy grekę, gdy istnieje pełno przekładów w rozmaitych językach, źródła są i bogate i dostępne. Jak pięknie je Prus wykorzystuje! Wspomnijmy tylko opowieść następcy tronu w rozmowie z Kamą. Jest to prawie dosłownie cytowany tekst o śnie, jaki miał książę Satne (Prus nazywa go Satni) w czasie pobytu na dorocznych uroczystościach ku czci bogini Bast*), w Pi-Bast, gdzie podobno zawsze bawiono się przy tej okazji wcale nieźle.

Skąd je Prus czerpał poza Masperem? Może nawet z Petersburga. Po pierwsze właśnie Rosjanie mieli szczególny dar interpretowania imion i nazw po swojemu, w czym i do dziś dnia celują, po wtóre właśnie te źródła były Prusowi łatwiej dostępne, dobrze podane, posiadające przy tym rozgłos i sensację, o którą rosyjscy uczeni bardzo się — i ze skutkiem — starali. Ten fakt jest bardzo ważny dla naszych późniejszych rozważań.

Prus rozpoczął „Faraona" około roku 1893, skończył w 1895. W tym czasie lista faraonów nie mogła być Prusowi znana w obecnej rozciągłości. Ostatnie lata XIX wieku miały do swej dyspozycji jeszcze niepełny komplet, pełen pomyłek i luk trwających czasem po parę wieków, opartych głównie na regestrze władców Egiptu, sporządzonym przez kapłana Manetho, dość późno, gdyż dopiero około 400 roku przed Chrystusem. Dopiero najnowsze odkrycia pozwoliły jako tako ów regestr uzupełnić.

Jednak już był znany i doceniany jeden z najpotężniejszych władców Egiptu, bodajże jeszcze większy od Ramzesa II, imieniem Horenhep. Grobu tego Horenhepa szukano na próżno przez dziesiątki lat. Odnaleziono go dopiero w 1908 roku. Horenhep ożenił się z córką wspomnianego poprzednio Ay, następcy Ankhatona, księżniczką Mutnezem. Nie był z roku królewskiego, jednak z dobrej familii. Małżeństwo, jak to tam bywało, dało mu tron. Był popularny. Napisy nazywają go „największym z największych, najpotężniejszym z potężnych panem obu Egiptów". W dzień po ślubie otrzymał przepisowy tytuł: „Potężnego byka, ducha planów, umiłowanego przez dwie boginie, wielkiego w cudach, Złotego Sokoła, Wyznawcy Prawdy, Stwórcy Obu Krain", po czym panował przez szereg lat szczęśliwie i mądrze. Z historii tego faraona można by wnioskować, że Prus podzielił niejako na pół owego „umiłowanego przez dwie boginie", jedną połowę, będącą pod opieką Izydy, a więc umiłowanie pokoju, religijność, przyjaźń z kapłaństwem, wraz z 35 latami panowania, oddał Ramzesowi XII, gdy drugą (coś jakby z resortu bogini Nephtis), a więc dążność do despotyzmu, niespokojny charakter, szlachetność, lecz brak równowagi, włącznie z reformą sądownictwa i rolną, przekazał synowi. Opisy panowania Horenhepa są tak barwne, że trudno nie dać się skusić. Prus musiał je znać — choćby z Maspera. Jednak zwycięstwo nad Libijczykami i bitwę przy Słonym Jeziorze żywcem zarekwirował u Ramzesa III. Zmienił tylko zakończenie. Ramzes następca tronu przyszły Ramzes XIII szlachetnie zwraca syna zwyciężonego ojcu. Ramzes III postępuje nieco inaczej, może praktyczniej: syna zabija, gdy ojca, który przybył po syna, wtrąca do więzienia.

Zastanawialiśmy się dotychczas nad postaciami historycznymi w „Faraonie". Należałoby się jednak zastanowić również nad przyczynami, które skłoniły Prusa do obrania tak niezwykłego tematu, w tak odległej epoce. Dlaczego właśnie Egipt i dlaczego właśnie Egipt u schyłku XX dynastii? Jak już wspomnieliśmy, praca nad „Faraonem" trwała między 1893-95 rokiem. Bezpośrednio przed tym okresem miało miejsce pewno zdarzenie, ważne dla egiptologów, poza tym wykorzystane jako sensacja dla laików przez wszystkie możliwe pisma naukowe i nienaukowe. Otóż kilku mieszkańców El-Hadih znalazło w piasku zwój papyrusu. Ponieważ zwoje wyglądały na bardzo stare, zdecydowano po naradzie, że nie należy ich starym zwyczajem użyć na podpałkę, lecz raczej próbować dobrze sprzedać. Przez przypadek papyrus ten został sprzedany na miejscu egiptologowi rosyjskiemu, właśnie podróżującemu po Egipcie, prof. Gołbyszewowi. Gołbyszew tekst odczytał i przetłumaczył. Postarał się, by nadano jego pracy jak największy rozgłos, w czym pomagali mu zarówno rosyjscy koledzy, jak i rząd rosyjski. Prus, który wiele czytał, lubił sensacje, poza tym niewątpliwie zajmował się zagadnieniami hermetycznymi, które łączy tradycja zawsze z tajemniczym Egiptem, więc musiał dostać do rąk owe tłumaczenie rękopisu. Jest to więcej niż prawdopodobne, gdyż po pierwsze dziwnie zbiegają się daty odkrycia i ogłoszenia papyrusu, po drugie papyrus jest raportem kapłana Wen-Amona, przedłożonym swemu bezpośredniemu przełożonemu, arcykapłanowi świątyni Amona-Ra w Tebach — Herhorowi, w 16 dniu, 11 miesiąca, piątego roku panowania Jego Świątobliwości Ramzesa XII.

Niewątpliwie krytycy podkreślają, że treść dokumentu nie ma nic wspólnego z treścią „Faraona". Jednak trzeba wziąć pod uwagę, że treść owego dokumentu w tym czasie była zbyt powszechnie znana, by na niej haftować. Poza tym było to tłumaczenie dokonane rękoma Rosjanina i poparte całą „powagą" nauki rosyjskiej. Wykorzystanie treści byłoby złożeniem hołdu tej nauce przez Polaka, co więcej, przez popularnego pisarza, jednego z czołowych publicystów i autorów. Nie mniej należy przypuścić, że ów dokument stał się bodźcem do pracy nad problemem może nawet podyktowanym chęcią stworzenia czegoś lepszego, niż liche tłumaczenie. Jednak niewątpliwie mógł korzystać z ducha raportu, zaś ogólny styl i mimowolny humor opisanych w nim przygód „Starszego Przedsionka Świątyni Amona w Tebach" jest bardzo podobny do ogólnego stylu i ujęcia scen w „Faraonie". Przygody i opisy rozmów, sporów i obyczajów dały Prusowi ponadto znakomity materiał do opisów nie tyle Egipcjan, ile Azjatów, jakich wprowadza na scenę swego dzieła. Dlatego pozwalamy sobie postawić tezę, że „Żałosne Przygody Kapłana Wen-Amona", jak zatytułował ów papyrus prof. Weigall, były „Faraona" początkowym wzorem.

Chcąc zapoznać czytelników z treścią papyrusa, pozwalamy sobie zacytować ją według skrótu prof. Weigalla. Od czasu odkrycia papyrus do dnia dzisiejszego doczekał się aż 4 tłumaczeń. Opieramy się na Weigallu, gdyż ów uczeń Petriego, współpracownik wszystkich wybitnych egiptologów od Maspera po lorda Carvarnon, odkrywca takich grobów jak Horenhepa czy Ankhatona i Tyi, poza głęboką wiedzą w swej specjalności, był również znakomitym literatem i poetą.

Przystępujemy do tekstu owych „Żałosnych Dziejów".

*

W roku 1113 przed Chrystusem arcykapłan Amona w Tebach przystąpił do budowy tryumfalnego statku dla posągu Amona, którym miał podróżować po Nilu (niech czytelnicy sobie przypomną pierwsze zdania t. I „Faraona" o podobnej podróży bożka Hetsu!), jednak napotkał na ważny problem braku odpowiedniego drzewa. Wobec tego zawezwał przed swe oblicze „Starego Przedsionka Świątyni", którym był kapłan Wen-Amon i kazał mu udać się do Azji dla zakupów budulca, szczególnie cedrów, z których Syria i Liban przecie słynęły. Jak z dokumentu wynika, zaszczytne wyróżnienie padło na Wen-Amona niespodziewanie i przyjął je raczej jako dopust Boży, gdyż zapalonym podróżnikiem niewątpliwie nie był. Stanowisko „Starszego Przedsionka" było stanowiskiem spokojnym, Wen-Amon zaś lubił spokój i przyjemne życie oraz pobożne westchnienia pielgrzymów, które dawały także materialne korzyści. Nie znaczy to bynajmniej, by Wen-Amon był człowiekiem pozbawionym temperamentu, przeciwnie raczej brakowało mu cnót umiarkowania i wstrzemięźliwości, co raczej nie szło w parze ze świętym jego zawodem, zaś łatwość, z jaką przechodził od dziecinnego entuzjazmu do łez, zdziwiłaby każdego, kto był Egipcjaninem nie tylko z epoki panowania Jego Świątobliwości Ramzesa XII.

Przed podróżą wręczył Herhor Wen-Amonowi pewną sumę pieniędzy oraz listy polecające do rozmaitych egipskich i syryjskich dostojników i książąt. Dla podkreślenia zaś ważności podróży dał mu do towarzystwa posąg Amona-Pana-Dróg. Posąg ten, raczej posążek, wręczano zawsze ważniejszym posłom czy ambasadorom podróżującym dla interesów świątobliwych, celem zapewnienia im powodzenia w podróży oraz szczęścia przy wykonywaniu poleconych zadań.

Tak zabezpieczony poseł wsiadł na barkę. Zaokrętował się prawdopodobnie w Hetbennu, dzisiejszym El-Hibeh, wówczas stolicy osiemnastej prowincji (nomesu) imperium. Pierwszym celem jego podróży było miasto Tanis, położone około 200 mil w dół Nilu, w samej Delcie, gdzie panował niepodzielnie niby to namiestnik Jego Świątobliwości, w rzeczywistości dyktator Dolnego Egiptu Nesubanebded. On to miał pod wyłączną swą opieką wszystkie okręty morskie faraona.

Wen-Amon po przybyciu na miejsce zażądał audiencji i otrzymał ją natychmiast. Na tej audiencji głośno a uroczyście odczytano wszystkie listy polecające, które świątobliwy kapłan ze sobą przywiózł. Nesubanebded słysząc, że podróż Wen-Amona ma charakter nie tylko nadzwyczaj ważny i pobożny, lecz równocześnie winna odbyć się bezzwłocznie, nie mając innego okrętu pod ręką, załadował posła Amona na pewien statek syryjski, którym dowodził doświadczony kapitan Mengebet. A statek posiadał dzielną załogę i mocnych wioślarzy. Przygotowania do podróży ukończono w tempie przyspieszonym i to w dwa tygodnie po opuszczeniu swej świątyni Wen-Amon znalazł się pod żaglami na „Wielkim Morzu Syryjskim", jak Egipt tę część Morza Śródziemnego nazywał.

Podróż byłaby przyjemna i miła, gdyż wiatry i pogoda sprzyjały, gdyby nie nieprzyjemne odkrycie: w parę dni po opuszczeniu Tanis Wen-Amon skonstatował, że zapomniał wszystkich listów polecających, które przez nieporozumienie zostały w archiwach Nesubanebdeda. Toteż słusznie zaczął się trwożyć: jak też on, poseł, bez listów polecających i uwierzytelniających, zostanie przyjęty w Syrii? Nie lubiono owczas wierzyć „na słowo", listy polecające były rzeczą nieodzowną. Miał wprawdzie inne ważkie argumenty w postaci pieniędzy, no i przede wszystkim świętego posągu, lecz mimo wiary w niezawodność takiej opieki miał grube wątpliwości w wiarę barbarzyńców. Czy uszanują posąg i jego? Targany takimi wątpliwościami, po odkryciu straty, chciał natychmiast nawrócić, lecz dzielny kapitan Mengebet ani słyszeć chciał o powrocie do Tanis. Ta odmowa jak i wrodzona rodowitym Egipsjanom nieufność do cudzoziemców spowodowała, że Wen-Amon zaczął podejrzewać Mengebeta o jakieś niejasne zamiary.

Wyobraźmy sobie świątobliwego kapłana, dręczonego chorobą morską (wszyscy Egipcjanie mają do niej zadziwiającą skłonność), jak siedzi na prymitywnym tylnym pokładzie, pod płachtami chroniącymi od słońca i deszczu, pełen wątpliwości, zgryzot i wyrzutów sumienia, niepewności i wreszcie zwykłego strachu na straży Amona-Pana-Dróg i pieniędzy, których było sporo.

Już minęli puste i niegościnne brzegi krainy Szaszu, już zarysowywały się wzgórza i szczyty skalistego Edonu, niebawem daleko na południu pozostały za podróżnikami miasta Askalonu i Asztod. Po wielu dniach na morzu zawinięto wreszcie do portu niewielkiego miasta Dor, tuż u stóp Karmelu, by uzupełnić zapasy wody i żywności. Wen-Amon stwierdza, że mieszkańcy Dor pochodzili od potomków narodu Tekel, czyli Sycylijczyków, którzy aż tak daleko powędrowali szukając lepszej ziemi i lepszych interesów niż u stóp Stromboli.

Król Dor niejaki Bedel, usłyszawszy wieść, że na statku, który przybił do jego portu, znajduje się dostojny kapłan Amona, posłał mu w dowód swej życzliwości trochę mięsa, świeżych placków oraz potężny dzban miejscowego wina. Wen-Amon przyjął dar z radością i bez zwłoki zabrał się do uczty, pijąc zdrowie gospodarza oraz chwaląc wielce jego udźce baranie. Był zaś wygłodniały i spragniony po diecie morskiej. Niestety! Wino syryjskie jest znacznie mocniejsze od egipskiego, co sprowadziło na biednego kapłana niespodziewane klęski. Otóż jeden z marynarzy (przypuszczać należy Sycylijczyk z pochodzenia) wykorzystał sposobność, że świątobliwy poseł spał twardym snem po uczcie i wykradł mu z kryjówki pod pokładem całą gotówkę. Nim Wen-Amon zdołał się obudzić i stanął w obliczu srogiej prawdy, nieobecny sprawca wziął nogi za pas i zniknął między budynkami malowniczego Dor.

Tegoż samego wieczora nieszczęsna ofiara bezbożnego czynu, siedząc na pokładzie i połykając słone łzy, dyktowała sekretarzowi całkowity rejestr poniesionych strat. Ujęty zaś został jak następuje:

Naczynie zawierające złoto wartości ... 5 debenów,

Cztery naczynia zawierające srebro wartości do ... 20 debenów,

Skrzyneczka ze skóry zawierająca srebro wartości do debenów 21.

W sumie: w złocie debenów 5, w srebrze debenów 31.

We współczesnej walucie, jako że deben waży około 100 gr, złodziej wzbogacił się o 500 gr złota i 3100 gr srebra, w dzisiejszej walucie o jakieś 2750 funtów angielskich w złocie.

Dlatego łatwo zrozumieć można, że biedny Wen-Amon źle spał tej nocy. Wczesnym rankiem następnego dnia, wziąwszy sekretarza do asysty, pobiegł do pałacu królewskiego i wnet został dopuszczony przed oblicze władcy. Na szczęście J. K. Mość nie żądał ani listów polecających ani też uwierzytelnień posła, lecz ze współczuciem serdecznie i po przyjacielsku zajął się jego sprawą, mimo iż, jak z raportu wynika, skarga wysłańca Amona nie była przedłożona w zbyt grzecznej formie.

— Zostałem okradziony w twoim porcie! — krzyczał, jak sam wyznaje, świątobliwy kapłan — ponieważ zaś ty jesteś królem tego kraju, odpowiedzialność za tę świętokradzką zbrodnię spada i na ciebie. Masz zaraz szukać moich pieniędzy. Te pieniądze należą do tak potężnych władców jak namiestnik Nesubanebded i pan mój, dostojny Herhor (należy zwrócić uwagę, że nie wymienia ani jednym słowem majestatu Ramzesa XII), skradzione pieniądze są własnością także innych dostojników: Vereta, Mekmela oraz Zakar-Baala księcia Byblos!

Król Dor z cierpliwością i arcypolityczną grzecznością wysłuchiwał wybuchów posła. Dopiero po pewnej chwili przerwał jego tyradę i odezwał się:

— Nie ubliżając w niczym honorowi Jego Dostojności, niestety nie wiem nic o sprawach, które mi Wasza Dostojność komunikuje. Gdyby złodziej był moim poddanym i mieszkańcem mego królestwa, gdyby z brzegu wszedł na okręt Waszej Dostojności i popełnił kradzież, niewątpliwie wypłaciłbym tytułem zaliczki całą sumę z mego osobistego skarbu, aż do czasu kiedy by te pieniądze zostały odzyskane. Jednak — niech Wasza Dostojność sama zważy — złodziej był członkiem załogi okrętu, który tak szczęśliwie przywiózł Waszą Dostojność do mych brzegów. W tej chwili widzę tylko jedną możliwość: prosić Waszą Dostojność o krzynę cierpliwości, będziemy szukali złodzieja!

Dziesięć długich dni czekał Wen-Amon na spełnienie obietnicy króla. Siedział pod dachem swej kabiny i nie odważał się postawić nogi na ląd, gdy tymczasem kapitan Mengebet bardzo się niecierpliwił. Wiatr był pomyślny, lada chwila mógł się zmienić, na pokładzie wiózł drogocenne kargo, poza tym chciał zobaczyć rodzinę. W końcu zagroził Wen-Amonowi, że odpłynie bez względu na to, czy pieniądze znajdą się czy nie. Wobec tego dziesiątego dnia czekania Wen-Amon znów udał się do króla. Na audiencji z miejsca zrobił nową awanturę. Lecz tu skończyła się cierpliwość Bedela:

— Zamknij wreszcie gębę! — wrzasnął JKMość do boskiego posłańca (na co ów gorzko skarży się w swym raporcie).

Co dalej było — nie podaje. W każdym razie w dzień później Wen-Amon opuścił niegościnny Dor — bez pieniędzy. Gdy po paru dniach podróży okręt Wen-Amona przybił do brzegów Tyru, największego i najweselszego portu na Wschodzie, świątobliwy kapłan nie potrzebował się obawiać pokus światowych. Był bez grosza. Jedyne, co mu pozostało, to ów posąg Amona-Pana-Dróg, niewątpliwie nie materialna pomoc. Po Tyrze przybili do Sydonu, po jakichś nieznanych przygodach, gdyż jest pewna luka w dokumencie. W Sydonie niecierpliwy Wen-Amon wziął inicjatywę we własne ręce.

Przypadek zdarzył, że wraz z nimi do portu przybił okręt wiozący kilku kupców sycylijskich. Wen-Amon porozumiał się z dzielnym kapitanem Mengebetem. Choć nie ufał barbarzyńcom, jednak miał do Mengebeta pewne zaufanie, jako do człowieka niewątpliwie przedsiębiorczego. Mengebet natomiast wiedział, że do Egiptu kiedyś znów wróci, więc wolał iść Egipcjaninowi na rękę. Toteż razem ułożyli pewien plan. Pod pretekstem grzecznościowej wizyty odwiedzili owych kupców sycylijskich, a nawet przyjęli ich zaproszenie na ucztę. W czasie tej uczty, gdy wszyscy byli dobrze podpici, służba Mengebeta powiązała gospodarzy i ich służbę, zaś skrzętny Wen-Amon zaczął szukać skrzyni z pieniędzmi. Znalazłszy ją rozbił zamek i zabrał, co w niej było. Niestety, nie wiele, zaledwie 31 debenów w srebrze, czyli akurat tyle, ile w srebrze stracił. Uważał to jednak za wyraźne błogosławieństwo Amona. Zabierając pieniądze tak przemówił do powiązanych gospodarzy: „Zabieram wam te pieniądze i zatrzymam je, dopóki nie odnajdę swoich, skradzionych! Wy jesteście Sycylijczycy, skradł mi je Sycylijczyk, może nawet nasłany przez was! Zabieram — gdyż tak jest sprawiedliwie..."

Biegiem udali się na pokład i natychmiast odpłynęli. Na szczęście wiatr był przychylny. Wen-Amon postanowił jak najspieszniej dobić do Byblos i tam oddać się pod opiekę tamtejszego władcy Zakar-Baala. W sprawie rabunku nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia. Sprawiedliwy mąż, poseł i zapobiegliwy kapłan powinien był uczynić, jak on uczynił. Jak z tego widzimy, był zwolennikiem zbiorowej odpowiedzialności.

Byblos znajdowało się u stóp wzgórz Libanu. W Libanie — jak wiadomo — były cedry, więc niewątpliwie Liban był celem podróży wysłannika Herhora. Byblos miało zawsze ścisłe stosunki polityczne i handlowe z Egiptem, zaś Zakar-Baal uchodził jeżeli nie za wyznawcę, to w każdym razie za sympatyka kultu Amona-Ra. Nie mniej — właśnie dlatego — Wen-Amon miał poważne obawy. Wiózł ze sobą święty posąg Amona-Pana-Dróg, posąg znany widocznie i wielce błogosławiony, jakże się on, Wen-Amon wykaże, że jest Wen-Amonem i że posiada posąg prawnie i legalnie? Wieść o obrabowaniu Sycylijczyków w Sydonie mogła znacznie prędzej dotrzeć do Byblos drogą lądową, niż on morską.

Przed wylądowaniem dobrze ukrył pieniądze sycylijskie oraz błogosławiony posąg Amona. Uczyniwszy co przezorność i mądrość nakazywały — czekał na dalsze wypadki.

Zakar-Baal niewątpliwie wiedział już o incydencie sydońskim, gdyż natychmiast po przybyciu do brzegów okrętu Wen-Amona przysłał do portu swego osobistego gońca z poleceniem do kapitana: „Wynoście się zaraz z mego portu". Wen-Amon upadł zupełnie na duchu. Dowiedziawszy się zaś przypadkiem, że w porcie przygotowuje się do powrotu jakiś okręt egipski, posłał rzewną prośbę do władcy Byblos, by mu pozwolił powrócić do kraju na tym rodzinnym okręcie. Władca jednak nie dał odpowiedzi, natomiast każdego ranka pojawiał się na pokładzie kierownik portu i powtarzał Mengebetowi rozkaz: „Wynoście się natychmiast!"

Zakar-Baal nie chciał użyć siły. Na pokładzie okrętu, choćby nawet podejrzanego, jednak znajdował się poważny urzędnik egipski. Wykorzystali to Wen-Amon z Mengebetem. Zaczęli przez swych ludzi rozpuszczać pogłoski, że na pokładzie pewnego okrętu stojącego w porcie znajduje się cudotwórczy posąg Amona. Dawali do zrozumienia, że straszliwe losy mogą spotkać Byblos, jeżeli zadrze z niebieską potęgą egipskiego bóstwa. Równocześnie Wen-Amona odwiedziło paru kapłanów Baala oraz boskiej Astarte. Także pewnie nieśmiertelny Aton musiał skierować proroczo kroki swych przedstawicieli w stronę okrętu Wen-Amona. W każdym razie część debenów sycylijskich znalazła się w obszernych kieszeniach miejscowych proroków.

Przezornego bóstwo lepiej chroni. Toteż mimo wszystkich zabiegów, Wen-Amon spakował swe manatki i cichaczem kazał je przetransportować na pokład egipskiego okrętu. Nie widząc, by jego usiłowania dawały konkretne rezultaty, pewnej nocy Wen-Amon wziął święty posążek pod pachę oraz resztę debenów do torby i podążył w stronę, gdzie stał okręt egipski. Ów miał odbić o świcie.

Był już blisko celu, gdy nagle z ciemności wychyliły się nieznane postacie i Wen-Amon został otoczony przez zgraję uzbrojonych ludzi, nie byli to jednak bandyci, lecz tylko kierownik portu wraz ze swą policją. Wen-Amon wolałby jednak bandytów, był bowiem przekonany, że teraz odbiorą mu nie tylko wszystkie debeny, lecz także święty posąg Amona, jego zaś samego wtrącą do więzienia, z którego trudno będzie się wydostać. Jednak ku największemu zdziwieniu kapłana kierownik portu po stwierdzeniu identyczności zakomunikował mu w raczej uprzejmy sposób krótki rozkaz swego władcy: „Pozostaniesz na pokładzie swego statku, aż do decyzji księcia!"

Dostojny poseł Amona nabrał od razu animuszu i odzyskał głos: „Jak to? Czyż nie jesteś tym samym, który co rano przybywał do nas i kazał nam odpływać z Byblos? I teraz ośmielasz się w obliczu Amona wydawać rozkazy sprzeczne i zatrzymywać mnie siłą w porcie? Wiem, do czego zdążasz, podstępny Syryjczyku! Chcesz, żeby okręt, którym miałem wrócić nad Nil, odpłynął beze mnie! A wtedy ty znowu przyjdziesz z twoim: wynosić się zaraz z portu!"

Niesłusznie wymyślał kierownikowi portu podejrzliwy kapłan. Przyczyna zmiany woli władcy leżała gdzie indziej. Tego dnia wczesnym rankiem Zakar-Baal wziął udział w uroczystym nabożeństwie ofiarnym. I stało się: jeden z kapłanów zapienił się nagle, zdrętwiał i — zaczął prorokować. Prorokował zaś przez całe rano, południe i calutki wieczór. Wieścił, że dla dobra kraju i księcia należy natychmiast, ale to natychmiast przynieść do największej świątyni Byblos posąg Amona-Pana-Dróg, wraz z kapłanem, który mu towarzyszy... oczywiście. Zakar-Baal znudzony ciągłym krzykiem proroka, poza tym uważając, że może będzie przezorniej zastosować się do natchnionej rady od wszelkiego wypadku, wezwał do siebie kierownika portu, by nie pozwolił odpłynąć Wen-Amonowi razem z posągiem, którego tak przeraźliwie domagały się nieznane moce.

(Część II w następnym numerze)

---

*) Bogini z kocią głową.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 15 sierpnia 1954

Listy do Redakcji

O AUSTRII I JEJ WPŁYWIE NA ŻYCIE POLSKIE

Mój artykuł o Austrii („Życie" No 26/366) spotkał się z potrójną repliką: redakcji „Życia" (w króciutkiej notatce), oraz pp. Wieniewskiego i Helcmana. Odpowiadam na te trzy wypowiedzi łącznie, pomijam przy tym rzeczy mniejszej wagi, a ograniczam się do tego, co najistotniejsze. Pragnę tylko zauważyć jedno. P. Helcman, wśród innych soczystych epitetów, którymi mnie obdarza, wymienia także jako moją rzekomą właściwość „obfite złoża nienawiści" i stwierdza, że „omal sam nie zaczął nienawidzić" mojej skromnej osoby. Otóż pragnę p. Helcmana zapewnić, że po pierwsze zupełnie się myli, jeśli sądzi, iż jest we mnie czy w moich wystąpieniach pierwiastek nienawiści, a po wtóre, że mu się nie odwzajemniam i zgoła nie zaczynam odczuwać nienawiści do niego. Caritas, o której p. Helcman mówi, nie oznacza, byśmy mieli nie widzieć złego i przemilczać je. Przeciwnie, właśnie Caritas wymaga szczerości i surowości w wytykaniu błędów — pod warunkiem, by to robić nie z nienawiścią, lecz po to, by się tą drogą przyczynić do naprawy. Muszę także stwierdzić, że nie można mi czynić zarzutu jednostronności: widzę źdźbła i belki nie tylko w oczach wrogów Polski i moich przeciwników politycznych, lecz także i w oczach własnego narodu, zarówno jak i obozu politycznego, do którego od zarania młodości należę. Wreszcie, dodam skromną uwagę, że gdy się mówi o Caritas — to trzeba także powodować się tą cnotą samemu.

Replika, na którą pragnę odpowiedzieć, sprowadza się do dwóch zarzutów. Po pierwsze, że moje wystąpienie jest nie na czasie i nie na miejscu, gdyż niepotrzebnie wznawia rozdźwięki przebrzmiałe, po wtóre, że moja krytyka Austrii jest nieuzasadniona i krzywdząca. Odpowiadam na te dwie kwestie oddzielnie.

I.

Na wstępie pragnę zaznaczyć jedno. Jeśli krytykujemy Prusy i Rosję i mówimy, że wywarły one na życie polskie wpływ niepożądany — to nigdy nie obraża się o to ani poznańczyk, ani warszawiak, ani nawet Litwin. Natomiast jeśli się powie coś krytycznego o Austrii — zawsze się znajdzie jakiś Małopolanin, który zareaguje tak, jakby się tym poczuł osobiście dotknięty. To świadczy, że pogląd, iż zabór austriacki był najlżejszy już z państwem zaborczym zrośnięty, najgłębiej psychicznie zasymilowany, nie jest poglądem bezpodstawnym. A więc, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem wprawdzie mało rzucającym się w oczy, ale psychologicznie dość głęboko sięgającym i nie pozbawionym znaczenia.

Nie należy sądzić, że fakty, które przeminęły politycznie, stały się tym samym przebrzmiałe i pod innymi względami. Przeżyte epoki dziejowe pozostawiają po sobie ślad, trwający nieraz całymi pokoleniami i ślad ten, jeśli jest ujemny, wymaga leczenia nawet i wtedy, gdy niebezpieczeństwo polityczne z nim związane rozwiało się bez śladu. Któż mówi dziś o niebezpieczeństwie arabskim w Hiszpanii? A jednak, po pięciuset latach, wciąż mówi się o wpływie arabskim w Hiszpanii — nie zawsze dodatnim.

W tece redakcyjnej „Życia" leży już od kilku lat nieopublikowany rękopis mego artykułu o polskim katolicyzmie, w którym omawiałem między innymi trwający dotychczas w Polsce — zwłaszcza w Królestwie — szkodliwy wpływ rewolucji francuskiej, której duch przyszedł do nas wraz z Napoleonem. Jaki to był duch — przypomniał nam to świeżo ks. Cynar w swej książce o prymasie Raczyńskim. Napoleon zostawił po sobie w Królestwie nie tylko kodeks Napoleona, ale i nurt radykalizmu, nurt francuskich rewolucyjnych pojęć, który wycisnął trwałe piętno na całym życiu. Nie tylko zresztą w Królestwie. Każdy, kto zna bliżej były zabór pruski, zdaje sobie dobrze sprawę z wyraźnej różnicy, jaka zachodzi między atmosferą życia polskiego w Poznańskiem, a na Pomorzu. Pomorze jest o wiele mocniej, goręcej, bardziej ortodoksyjnie katolickie. Poznańskie ma atmosferę o wiele bardziej laicką i nie brak tam — chociaż słabszego niż w Królestwie — nurtu radykalnego. Przyczyna tego jest bardzo prosta. Większa część Pomorza między nie należała do Księstwa Warszawskiego, a w tych częściach, które należały (Toruń, Chełmno), ślady systemu napoleońskiego zostały szybko starte, to też życie polskie wróciło tam do stylu przedrozbiorowego. Natomiast w autonomicznym Księstwie Poznańskim system napoleoński w szczątkowej postaci przetrwał do roku 1848 i zostawił ślad.

Nie widzę, by pozostałości ducha napoleońskiego — przynajmniej w Królestwie — były sprawą przebrzmiałą i by nie należało się starać ich rugować z życia polskiego i z nich leczyć. Na mniejszą skalę, Warszawa i Królestwo dotknięte są przez te same choroby, co Francja, — i Polska nie powróci do pełnego zdrowia, dopóki chorób tych nie opanuje.

Tym poważniejszym i tym bardziej nie przedawnionym problemem są dla Polski pozostałości rządów zaborczych, wpływu, który trwał o wiele dłużej i był pod pewnymi względami głębszy.

To wielkie uproszczenie — uważać, że mamy przed sobą tylko problematy polityczne. Sprawy ducha narodowego, kultury narodowej, struktury życia społecznego itd. zgoła nie są od spraw politycznych mniej ważne, a co więcej, mają na te ostatnie wielki wpływ: gdyby nie pewne słabości naszego życia narodowego, nie bylibyśmy ostatnio popełnili niektórych niezwykle ważnych błędów, a więc i dzisiejsza katastrofa nasza byłaby o wiele mniejsza, a nawet — kto wie — może byłaby do uniknięcia.

Jesteśmy słabi i podatni na katastrofy, bo życie nasze jest od paruset lat zdezorganizowane. Nie mamy mocnych instytucji, nie mamy mocnej struktury społeczeństwa, nie mamy mocnego pionu moralnego. Przez 150 lat byliśmy niszczeni przez systemy zaborcze, a i przedtem przez dobre sto lat byliśmy chorzy i objęci przez procesy gnilne. W ciągu dwudziestolecia niepodległości nie mieliśmy czasu skrzepnąć, nie mówiąc już o tym, że był to okres pełen wstrząsów i fermentów i że budowaliśmy nasze życie pod wielu względami nie na tej drodze, co należało. A nawet to, co zdołaliśmy osiągnąć, zostało potem zburzone. Dzisiaj, w nienormalnych warunkach życia tułaczego w gruzy, choroby naszego życia rozrastają się bujniej, niżby to było w czasach normalnych i szczęśliwych, bo popękały więzy ładu i z drobnych nasionek chorobliwe pędy rozrastają się szybko.

Potrzebujemy nie tylko osiągnięcia naszych celów politycznych, ale także i wielkiego odrodzenia wewnętrznego, wielkiego procesu regeneracyjnego. Kto nie widzi, że jesteśmy chorzy i że musimy jako naród skrzepnąć i przyjść do siebie — ten jest po prostu ślepy. Potrzeba nam takiej wielkiej reformy całego naszego życia, jaką była kontrreformacja. Bez takiej reformy — zmarniejemy, a w końcu zginiemy.

Reformy takiej nie przeprowadzi rząd — ani jakiś jeden człowiek — czy grupa. Reforma taka musi być prądem i procesem, musi być wyrazem woli i wysiłku całego narodu. Trzeba do tego, by była publicznie dyskutowana, by słabości nasze były ogółowi znane. Nie trzeba ran zaklejać plasterkami angielskimi, by ich nie było widać. Przeciwnie, trzeba zdzierać z tych ran strupy, by ropę wycisnąć i by zgorzel wypalić.

Braków mamy wiele — a pozostałości wpływu zaborczego wcale nie są wśród tych braków sprawą najmniej ważną. A już z pewnością nie są sprawą przebrzmiałą.

Nikt nie neguje, że Rosja pozostawiła na naszym życiu głębokie ślady i że z jej wpływu musimy się leczyć.

Ujemny wpływ pruski zaznaczył się w naszym życiu najsłabiej. Główną jego cechą jest pewien materializm, jest przesadna ocena roli pieniądza i brutalnej siły. Cechy te zaznaczały się w pewnych kołach w byłym zaborze pruskim — myślę jednak, że ostatnie katastrofy bardzo to zatarły.

Nie ulega jednak wątpliwości, że najgłębszy wpływ na życie polskie wywarła — Austria. Nasz odbudowany po epoce zaborów aparat państwowy oparł się o wzory austriackie i sformowany został z materiału ludzkiego, wychowanego w szkole austriackiej. A była to szkoła zła. Zasiała ona w naszym życiu bakterie procesów gnilnych, które się dzisiaj bujnie plenią.

Gdybyśmy oparli naszą administrację i wojsko raczej na wzorach pruskich, niż austriackich (oczywiście, wzorach pruskich zmodyfikowanych i dostosowanych do potrzeb i ducha kraju katolickiego) — bylibyśmy zdrowsi i silniejsi. Nie mamy jeszcze wyraźnie skrystalizowanego stylu w naszej administracji, korpusie urzędniczym, korpusie oficerskim, sądownictwie itd.: dwadzieścia lat niepodległości — to było na to za mało. Wciąż musimy się rozglądać za dobrymi wzorami. Otóż wzory austriackie są najgorsze ze wszystkich, jakie możemy brać na serio w rachubę, toteż musimy się od tych wzorów i od tego wszystkiego, co jest skutkiem naszego dotychczasowego oparcia się o nie, uwolnić.

Ale tym sposobem przechodzę już do punktu drugiego.

II.

Muszę odpowiedzieć zarówno na to, co p. Helcman pisze o dzisiejszej republice austriackiej, jak i na to, co i on i p. Wieniewski piszą o Austrii dawnej.

P. Helcman broni republiki austriackiej — przy pomocy erudycji. Ale erudycja ta w niczym nie narusza prawdziwości i słuszności tego, co napisałem.

Metoda polemiczna p. Helcmana jest osobliwa. Cytuje on na przykład szereg stronic numerów tygodnika „The Tablet", na których sprawy austriackie były omawiane i kończy triumfalnie: „gdyby p. G. czytał uważnie i stale „The Tablet", na pewno nie napisałby tak nieścisłego i powierzchownego artykułu". Wrażenie, jakie może odnieść nieuważny czytelnik, jest, że p. Helcman wykazał mi jakąś nieścisłość. Otóż nic podobnego mi nie wykazał. Nie próbuje nawet twierdzić, na czym owa rzekoma nieścisłość ma polegać. Zarzut nieczytania stale „The Tablet", gdyby był słuszny, nie byłby zarzutem ciężkim, gdyż nie podobna czytać wszystkiego. Ale się składa, że zarzut ten jest bezzasadny, gdyż od roku 1945 czytam to pismo stale i od deski do deski. Czytałem również artykuły, które p. Helcman przytacza.

Że toczą się w Austrii procesy odrodzeńcze, to sam napisałem w moim poprzednim artykule. P. Helcman ma oczywiście słuszność, że procesy te idą od góry, tj. od pisarzy, księży, działaczy społecznych i politycznych, a nie dosłownie od chłopa: to jest zjawisko normalne i tak zawsze bywa, że wszelkie nowe prądy idą od góry, tj. od przywódców. Ale nie zmienia to faktu, że w życiu Austrii jako kraju i zbiorowości — są to procesy narastające od dołu. Mają one charakter demokratyczny, ich podstawą jest wieś, jest prowincja, jest demokratyczna inteligencja, jest to wszystko, co związane jest z austriackim ludem, austriacką republiką, a nie z tradycjami monarchii Habsburgów i z burżuazyjno-liberalnym (nie tylko socjalistycznym) Wiedniem. Przy okazji małe sprostowanie: Adrienne von Speyr nie jest Austriaczką i nie ma nic wspólnego z Austrią. Jest to Szwajcarka — i to, pomimo niemieckiego nazwiska i pomimo że pisze po niemiecku, Szwajcarka francuska. Mieszka w Bazylei.

Istota sprawy polega jednak na tym, że republika austriacka jeszcze się nie otrząsnęła z chorób, jakie odziedziczyła po monarchii Habsburgów i nieprędko się z nich zdoła otrząsnąć, tak jak nieprędko zdoła się z nich otrząsnąć nasza warstwa urzędnicza. Czy prawdą jest, że republika austriacka przewyższa wszystkie kraje katolickie i większości krajów protestanckich świata odsetkiem rozwodów? To jest prawdą — i to jest osią zagadnienia. P. Helcman nie próbuje tej prawdzie przeczyć. Jako jedyne wytłumaczenie ma tylko to, że hitlerowcy wprowadzili w Austrii niemieckie ustawodawstwo o obowiązkowych ślubach cywilnych, poprzedzających ślub kościelny itp. Otóż to samo ustawodawstwo obowiązywało w Rzeszy Niemieckiej (łącznie z naszym byłym zaborem pruskim) już od czasów Kulturkampfu, a jednak wśród katolików w Westfalii i Nadrenii, a także przed rokiem 1918 wśród społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim rozwody były zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Przyczyną austriackich rozwodów nie jest świeckie ustawodawstwo, ale jest nieodporność i miękkość charakterów oraz nieliczenie się z nakazami i zakazami Kościoła.

Nie traktujmy także hitlerowców jako zjawiska w stosunku do Austrii zewnętrznego. Hitler był rodowitym Austriakiem, pochodzącym z Braunau w Górnej Austrii. Skrystalizował się on jako indywidualność, szlifując jako nie cieszący się powodzeniem malarz bruki wiedeńskie i wysiadując w wiedeńskich kawiarniach. Hitleryzm nie jest zjawiskiem północno-niemieckim, ale ruchem o pochodzeniu austriackim i bawarskim: jego kolebki to Wiedeń i Monachium. (A Bawaria, to jest część Rzeszy Niemieckiej najbliższa pod każdym względem Austrii. Katolicyzm bawarski jest o wiele pokrewniejszy austriackiemu, niż nadreńsko-westfalskiemu albo śląskiemu albo berlińskiemu tj. północno-niemieckiej diasporze.) Hitleryzm jest ubocznym produktem życia katolickiej Austrii i Bawarii, jest reakcją zbuntowanej mniejszości przeciwko temu życiu — i świadczy on o utajonych chorobach tego życia w ten sposób, jak palenie kościołów przez anarchistów i komunistów hiszpańskich świadczy o nagromadzonych zasobach nienawiści, a więc i o jakowychś winach i niedociągnięciach społeczeństwa katolickiego w Hiszpanii.

Przechodzę do „arcykatolickiej monarchii". Arcykatolickość tej monarchii skończyła się wraz z Marią Teresą. Austria nigdy nie podźwignęła się ze skutków józefinizmu. Jej cechą była — obłuda.

Metternich przeżywa dziś okres rehabilitacji w badaniach historycznych — i słusznie, bo jego walka z wpływami rewolucji w polityce europejskiej i z tajnymi organizacjami jest jego wielką, a niedocenianą dotąd zasługą. Ale nie wpadajmy w tej rehabilitacji w przesadę, jaką popełniają zwłaszcza niektórzy Anglicy, z natury rzeczy skłonni do sympatycznej oceny wielkiego swojego, antynapoleońskiego alianta: nie róbmy z niego polityka katolickiego. Był to cynik i sceptyk, który do mistrzostwa doprowadził zasadę: cel uświęca środki. Był to typowy przedstawiciel epoki „oświecenia", epoki „ancien régime'u" — tym jednak różniący się od innych, że strojący się w togę obrońcy wiary i Kościoła, a więc zacierający granice między tym, co katolickie, a co niekatolickie, oraz szeroko otwierający wrota obłudzie. Uważanie go za męża stanu arcykatolickiego, czy po prostu katolickiego — to wielkie nieporozumienie. Pomijam już jego liczne romanse z cudzymi żonami. Ale czy polityk katolicki byłby inicjatorem małżeństwa córki swego cesarza z Napoleonem, człowiekiem nie tylko będącym w konflikcie z papieżem, ale mającym kościelnie poślubioną żonę? Polityk katolicki byłby z Napoleonem współpracował — bo to była polityczna konieczność, ale takiego pociągnięcia dla umocnienia współpracy nie zrobiłby nigdy. Wyobraźmy sobie Salazara, de Gasperiego, de Valerę, Adenauera, generała Franco albo austriackiego księdza Seipla, robiących takie posunięcie! Już sam ten jeden fakt świadczy, co arcykatolickość Metternicha była warta.

A czy nie maczał on palców w rzezi galicyjskiej? Rzeź galicyjska — to była najbardziej plugawa i najbardziej podła ze wszystkich zbrodni, jakie wszyscy trzej zaborcy w ciągu półtora wieku niewoli popełnili na ziemiach polskich. To nie była represja — choćby barbarzyńska i okrutna — ze strony władzy państwowej. To było potajemne spowodowanie popełnienia wielkiej liczby morderstw przez osoby prywatne, mianowicie przez polskich chłopów. Mierząc rzecz kryteriami etyki katolickiej — do której prawosławne i protestanckie rządy rosyjski i pruski nie miały przecież obowiązku się stosować — należy stwierdzić, że była to rzecz bez najmniejszego porównania gorsza od wszystkich zbrodni rosyjskich i pruskich, nawet od zbrodni Murawiewa Wieszatiela, który bądź co bądź występował jawnie, występował jako przedstawiciel władzy państwowej i karał za określone przestępstwo, jakim był udział w powstaniu.

P. Wieniewski przypisuje mi, że oskarżam biurokrację austriacką w Polsce o „korupcję i terror". To jest nieścisłe. O terrorze w ogóle nie pisałem. Co do korupcji — pisałem tylko o korupcji politycznej. To znaczy o tym, że biurokracja nie tyle była przekupywana, co przekupywała. To prawda, że czynownicy rosyjscy brali łapówki, których urzędnicy austriaccy na ogół nie brali. Ale jest prawdą, że wybory w zaborze rosyjskim — o ile w ogóle miały miejsce — a tak samo wybory w zaborze pruskim odbywały się na ogół bez „cudów nad urną" i w ramach ustaw. Natomiast korupcja polityczna za kulisami aktu wyborczego uprawiana przez administrację kwitnęła w Galicji i była źródłem chorób życia politycznego, które zaraziły potem życie Polski odrodzonej.

Austria była organizmem państwowym gnijącym, który dla życia młodego państwa, jakim była Polska odrodzona, był najgorszym wzorem i najgorszą szkołą. A była to szkoła szczególnie niebezpieczna, bo uczono się w niej chętnie i bo widziano w niej organizm przyjazny. Oraz bo była to szkoła — pozornie — katolicka.

Nauczyliśmy się w tej szkole obłudy, chowania pod płaszcz katolicki tego, co było istotnie antykatolickie, oraz używania religii i Kościoła do osłaniania celów politycznych.

Nie dajmy się zasugerować frazesom o arcykatolickiej Austrii. Ona wcale nie była arcykatolicka. A jeśli masoneria, w której rachubach leży odbudowanie tworu państwowego będącego nowym wcieleniem dawnych Austro-Węgier, uprawia dzisiaj pro-austriacką propagandę, by pozyskać zwolenników i zmniejszyć opory — to to dla polskich katolików powinno być raczej tylko powodem do zwiększenia czujności.

Jędrzej Giertych

Palenie przyczyną raka płuc?

Oświadczenie brytyjskiego ministra zdrowia na poważny temat związku między paleniem tytoniu a rakiem płuc stało się nie tylko jednym z głośnych tematów rozmów, ale i impulsem do szeregu artykułów dziennikarskich na ten temat. W „Observerze" dr Alfred Byrne stwierdza, że uczonymi, którzy pierwsi zwrócili uwagę na ten związek przyczynowy, ogłaszając w r. 1950 artykuł w „British Medical Journal", byli dwaj członkowie statystycznego oddziału Medical Research Council, dr Richard Doll i prof. A. Bradford Hill. Prowadzą oni nadal swe badania, których terenem jest obecnie Norwegia, Dania i Islandia.

Wspomniana wyżej rozprawa Dolla i Hilla ukazała się wkrótce po pojawieniu się publikacji amerykańskiej na ten sam temat, która podała, że spośród 634 pacjentów cierpiących w Stanach Zjednoczonych na różne postacie raka płuc, 51.2% stanowili namiętni palacze, konsumujący wielkie ilości tytoniu. Uczeni brytyjscy przeprowadzili w 20 szpitalach londyńskich ankietę wśród 649 mężczyzn i 60 kobiet, dotkniętych rakiem płuc. Okazało się, że spomiędzy mężczyzn tylko 0.3% nie było palaczami, natomiast wśród kobiet odsetek ten wynosił 31.7%. Za palacza czy palaczkę uznano osobę, która wypalała co najmniej jednego papierosa dziennie w ciągu co najmniej roku.

Stwierdzono, że palenie papierosów jest w tym zakresie szkodliwsze niż palenie fajek. Nie widać, by „zaciąganie się" dymem papierosowym dawało dodatkowe ujemne skutki. Natomiast szansa nabawienia się raka płuc występuje szczególnie po 45 roku życia; wzrasta ona proporcjonalnie do ilości konsumowanego tytoniu.

Z badań brytyjskich wynika, że ryzyko nabawienia się raka płuc jest u ludzi, którzy palą dziennie po 25 papierosów lub więcej, 50-krotnie większe niż u niepalących.

Badania przeprowadzone w szpitalach Bristolu, Cambridge, Leeds i Newcastle-upon-Tyne przyniosły potwierdzenie danych, uzyskanych w Londynie. Niemniej uczeni są zdania, że dym tytoniowy nie jest jedyną z przyczyn, powodujących raka płuc. Wiele wysiłków poświęcono wyszukaniu w tytoniu substancji „cancerogenicznej", tj. wywołującej raka. Poddano badaniu różne chemikalia, używane przy hodowli tytoniu, a także rodzaje papieru i różne odmiany tytoniu. Do tej pory jednak nie znaleziono składnika, który by bezpośrednio wywoływał raka u ludzi. Natomiast przez nacieranie skóry myszy przez tytoń, spowodowano raka u 36 myszy spośród 81 poddanych temu doświadczeniu.

SOLIDARYZM NARODOWY

(Dokończenie ze str. 2)

łu, są zwykle absurdem. Mogą i muszą być umiarkowane koniecznościami współżycia. Jednakże dogmatem praktyki życiowej jest dążenie do polepszenia bytu w oparciu o zasadę systemu własnościowego. W obecnych czasach ani produkcja ani wymiana nie mogą być anarchiczne, nie zorganizowane. Muszą być planowane i kierowane. Jednak państwo winno brać na siebie bezpośrednio tylko takie gospodarcze funkcje, które najlepiej mogą być spełniane w drodze państwowej kontroli lub administracji. Należy to rozumieć w ten sposób, że upaństwowienia (czy też uspołecznienia) w dziedzinie produkcji, pośrednictwa lub usług nie powinny być wynikiem jakichś teoretycznych założeń, lecz jedynie stwierdzenia w każdym poszczególnym wypadku ekonomicznej i społecznej ich celowości i konieczności. Należycie uregulowana przedsiębiorczość prywatna winna być uszanowana i popierana.

ŻYCIE POLITYCZNE

Rządzenie solidarystyczne musi być demokratyczne tj. musi się opierać na możliwie bezpośrednim współdziałaniu obywatela i masy społeczeństwa w akcji państwowej, przez ich udział w rozważaniu zadań państwowych i tworzeniu nowych form współżycia: politycznych, ekonomicznych i kulturalnych. System parlamentarny stanowi tu oczywiście nienaruszalną podstawę. Jednak tam, gdzie zachodzi tego potrzeba, winny być wzięte pod uwagę reformy ustrojowe, zapewniające sprawniejszy bieg życia państwowego, między innymi przez pogłębianie, w formach właściwych dla każdego kraju, bardziej decentralizowanego kontaktu organów państwa ze społeczeństwem oraz przez uregulowanie roli działalności partyjnych w stosunku do życiowych funkcji państwa.

Treść duchowa i praktyczna zjawiska solidaryzmu jest niezmiernie rozległa i ulega stałemu postępowi, stałej ewolucji. Niektóre z jego nakazów wybijają się jednak specjalnie wyraźnie na plan pierwszy i wydają się mieć charakter podstawowych niezaprzeczalnych zasad. Oto przykładowo parę takich postulatów, wyrażających przekonania szerokich mas ludzi myślących.

1) Życie państwowe i społeczne winno opierać się na etyce religijnej i na moralności chrześcijańskiej (lub moralności zbliżonej co do treści do chrześcijańskiej — jeśli chodzi o kraje nie-chrześcijańskie), gdyż człowiek, by żyć normalnie, musi wierzyć w Boga, w nieśmiertelność duszy i celowość życia.

2) Państwo ma obowiązek zapewnić obywatelowi możność godnego bytu: zdrowemu właściwą pracę (pełne zatrudnienie), asekurację od wypadków i nieszczęść losowych, niezbędny wypoczynek; staremu emeryturę, choremu leczenie, każdemu minimum egzystencji (zgodnie z założeniami „państwa opiekuńczego").

3) Państwo ma obowiązek zapewnić bezpłatne nauczanie wszystkich stopni, lecz uszanuje również i nauczanie wolne.

4) Państwo winno uszanować prawo własności oraz wolność życia prywatnego, osobistego, obywatela i wkraczać w te dziedziny może jedynie, gdy jest to nieodzownie niezbędne dla trwałości struktury współżycia państwowego. (Zasady te są już dość ściśle sformułowane w „Deklaracji Praw Człowieka" i konwencji uchwalonej przez O.N.Z.)

5) Cechą państwa solidarystycznego winien być humanitaryzm i miłosierdzie. Państwo powinno zapewnić wydatną pomoc charytatywną dla złagodzenia nieszczęść losowych. Z kodeksów państwa solidarystycznego kary okrutne i kary śmierci winny być usunięte.

Wszystkie, powyżej przytoczone, koncepcje czy postulaty znajdują swoje uzasadnienie w konkretnych i ważkich przejawach dzisiejszego życia społecznego i państwowego. Szczupłość ram niniejszego artykułu nie daje możności przytoczenia przy każdym poszczególnym punkcie tej masy faktów, z których ich treść wywodzi się i których syntezę stanowi. Z konieczności więc została zastosowana tu niepopularna forma deklaracyjna. Jednak nie trudno stwierdzić, że nie są to koncepcje zaczerpnięte z jakiegoś oderwanego, subiektywnego systemu, lecz, że są to, w całym znaczeniu tego słowa, sformułowania obiektywne, wynikające z obserwacji rzeczywistości i odzwierciadlające bieg myśli i uczuć niewątpliwie ogromnej większości żyjących ludzi.

(Część druga w następnym numerze)

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) w krajach bloku szterlingowego: — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście – 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA I CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — „Libreria Polaca", Av. Leandro Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: „Vistula" (Australia) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — E. Kułakowska, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. - 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — Z. Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — „Libella" Librairie. 12, Rue St. Louis-en-l'Ile. Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — P. M. K., Schorsmolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118, Western Av., Montreal 6; International Book Service, 57, Queen Street W., Toronto 1 „Radegast". 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: S. Mikiciuk, Seehammerstr 4, Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz „Informacja Prasowa" — Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: „Gryf Publications" — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz M. Kijowski — 13171, McDougall, Detroit 12, Mich, oraz J. Stojanowska, 424, Ave „E", Bayonne N. Jersey, oraz „Pomoc" — Export Import — 761 Fillmore Ave, Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: Mgr. B. Kurowski — Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: Mme. Z. Bułhak-Jelska — via Salaria 300/c, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.